



Fot. MIECZYŚLAW STASZEWSKI

„Gazeta Wyborcza” drażni mnie na ogół tylko samo, ile jej redaktorów i współpracowników drażni na przykład „Trybuna Ludu”. Bardzo, bardzo. To zrozumiałe — i nie takie trudne do wytłumaczenia. Jest zwierciadłem, odbijającym świat całkowicie na opak w stosunku do obrazu świata, który znam z mojego własnego, podług moich zasad i moich wiar wybranego zwierciadła.

Ale to jest ten sam świat, w tych dwu zwierciadłach przeciwstawnych. Ogromnie ważny wniosek stąd wynika. I zobowiązujący. Jeżeli chcę o swoim świecie, o swoim kraju choćby, wiedzieć możliwie najwięcej i być możliwie najbliższej prawdy, nie tam jednej czy drugiej z konkurujących stronicznych trochę-prawd, ale najbliższej prawdy prawdziwej, całkowicie — muszę oprócz własnego obrazu świata, tego sercu, sumieniu i wiedzy najbardziej odpowiadającego obrazu, na serio brać pod uwagę to, jak widzą i jak myślą inni. A inni — przecież za sprawą swojej inności, rzecz jasna — myślą z gruntu inaczej.

Dlatego czytam „Gazetę Wyborczą” ile mogę dokładnie (co zaś oznacza to „ile mogę”, wie każdy, kto zaopatruje się w nią, biegnąc od kiosku do kiosku; zupełnie tak samo biegalem niedgdy dla ojca za „Gazetą Ludową”, niezbyt długo skądinąd). I z najlepszą wolą staram się wnikać w mechanizm myślenia jej autorów oraz jej solidarnych czytelników. Po dawnemu rzekłszy: staram się być raczej Autorenelser, aniżeli Selbstleser. Nic w końcu specjalnego; postepowałem tak przez całe życie wobec wszystkich pism i wszystkich idei, skądkolwiek do mnie docierały. Naukowych, politycznych. Dzięki nim — nie tożsamym z osobistymi moimi przedsięwzię-

Zbigniew Siatkowski
PKWN — i ci, którzy chcą go osądzić

„Gazeta” ogłosiła artykuł o PKWN-ie. Czyli: o Dwudziestym Drugim Lipca, chociaż wcale nie po to, żeby Święto Lipcowe uczcić. W ogóle „Gazeta” dostrzegła rocznicę wydarzenia, nie zauważa państwowego święta. Bo nie ich. Przypomniał mi się stawy numer „Tygodnika Powszechnego” z roku 1951 (doceń koteczku datę!), pierwszomajowy, który obryzmia publikację na czołowej kolumnie poświęcił w sam raz królowi Mieszkowi I.

Od dawna Krystynę Kersten znamy jako autorkę poważną — i rzeczywiście uniknęła, pisząc o PKWN, tonu, jakiego z zafascynowaniem używa tak wielu jej sąsiadów na łamach „Gazety”: tonu szesnastolatka, któremu naraz już wolno, więc dlatego chciałby dokuczyć jak najprędzej, a jeszcze żeby pobolało. Młodziutki Czarus Baryka, zanim dojrzał do rewolucji, cóż zaś dopiero do kontrrewolucji, w ta-

kiej radości „troczyckoj” przez ucho był swojego ledwo wczoraj onieśmielającego autorytetem dyrektora szkoły.

Krystyna Kersten to inna szkoła i egzaltacje nie są jej potrzebne. Argumentuje spokojnie, mimo że ze stanowczością. PKWN-u nie kocha, i nie za swoją uważa go tradycję. Mówi językiem własnym, całkiem odmiennym niż mój i moich towarzyszy, ale ten język nie uniemożliwia kontaktu. Bywa surowy i szorstki; napastliwy — nie. Z Krystyną Kersten można dialogować, a tym samym dialogować warto.

Przeanalizowawszy genezę PKWN po swojemu, czyli zupełnie bez głupawo-triumfalistycznego a kręckiego hagiografizmu i apologetyzmu, gnieźdzącego się nie wiadomo komu na radość w naszych podręcznikach oraz broszurach propagandowych (Boże, od kogóż kaznodzieje władzy ludowej taki styl spłagiowali?), Autorka formułuje główną tezę artykułu. Znamienne dla współczesnej Polski. To fakt. I godną lojalnego szacunku. To fakt. Trzeźwa. Ale aż mnie popędliwość podnosi: czy to w ogóle jest teza? A nie truizm? Taka, aż taka oczywistość?!

Autorka mianowicie twierdzi, iż dzisiaj dostrzegamy coś, co nie zawsze widoczne było dla ludzi sprzed lat czterdziestu :

Czesława Gąsienica- -Kotelnicka (Kirchner)

Myśli

Myśli moje dziwne, dzikie
To zaś za powolne
Do syćkiego te bestyjki
Do syćkiego zdolne

Choćkie mnie tyz zabowiajom
Choćkie zaś pozłoscom
Nieroz długo przemyślujem
I legom ze złościom

Te bestyjki tak figlarne
Nie dajom spokoju
Jo siy od nik otrzepujem
Rąkami osłaniom
A te skocom sepcom do mnie
Po izbie hipkajom
Bojki nieprawdziwe
O syćkim zmyślajom

I choćbyk ik śtrowowała
Okrzycała brzyćko
Zaś za kwile zacynajom
Wymyślować syćko.

racje tych, którzy PKWN pośrednio lub bezpośrednio stworzyli. A takie racje istniały.

Diabeł popędliwstwa krzyczy we mnie: dobre sobie! Racje istniały! No, jeszcze by też nie!

Jakże bardzo w tym punkcie jesteśmy różni, „Gazeta” i ja. Różnimy się rodzajem oczywistości. Dla takich jak ja istnienie fundamentalnej racji u realizatorów PKWN, ważnej a dobrosiumiennej, chociaż małej tyłoma trudnościami szczegółowymi czy wprost małociami lub głupotą, należało i należy do aksjomatów. Widzieliśmy tych ludzi przecież, pamiętamy te czasy; tym ludziom i czasom, ich etosowi, zawdzięczamy własną naszą formację światopoglądową. I nie w tym, co napisałem tutaj, dwuznacznego lub wstydliwego lub na wyrost nie ma. Honny soit qui mal y pense. Krystyna Kersten mówi do innych niż ja, nawiązując do ich, a nie mojego, poczucia oczywistości. Zapewne trafnie sobie wyobraża swoich dzięki „Gazecie Wyborczej” czytelników. Tak — mów — wasze oczywistości to prawda: PKWN stanowił połączenie pozorów i realnych faktów, był pseudokoalicyjny zaledwie, jego suwerenność była tylko deklarowana, w istocie decydował Stalin. Lecz jednak ta wasza prawda to ściśle biorąc półprawda i sensu PKWN nie opisują bez reszty określenia takie jak „twór marionetkowy”, „nielegalna uzurpacja władzy”, „sowiecka agentura”. Bo po swej stronie PKWN-owcy mieli pewne racje.

Banał więc? Odkrycie? Odwaga? Ani to ani to. Mówienie — celowe i potrzebne — do tych, co za swoją powinność patriotycznego serca, za wierność uznali powtarzanie słów i okrzyków z lat czterdziestych,

ILE ZA CO?

Dolary wciąż drożeją. Cena skupu dolara — według taryf PKO — osiągnęła 22 sierpnia 7.500 zł. Marki zachodniemieckie skupowano po 3.700 zł, funty — 11.400 zł, franki francuskie 1.100 zł, franki szwajcarskie — 4.300 zł, austriackie szylingi — 500 zł, bony PeKaO — 7.200 zł. Pod nowosądeckimi sklepami „Pewexu” i kantarami PKO stoi coraz więcej „koników” płci obojga. Dolar kosztował u nich 7.750 zł, bon — 7600 zł.

Złoto w sztabkach, nie uszkodzonych monetach sztabkowych i nowych monetach kosztowało: próby 1000 — 60 900 zł za gram, pr. 960 — 58 460 zł, pr. 900 — 55 780 zł. Nie uszkodzone złote monety: próby 1000 — 70 000 zł za gram, pr. 900 — 63 000 zł, pr. 750 — 52 500 zł. Złom złota próby 1000 wyceniano na 57 400 zł za gram, pr. 900 — 51 600 zł, pr. 500 — 28 700 zł, pr. 333 — 19 100 zł. Gram platyny próby 1000 wyceniony był na 50 600 zł, czystego palladu — 11 500 zł.

Maślany rynek. Jaja — od 120 do 150 zł. Kilogram pomidorów — od 500 do 700 zł, ogórków — od 800 do 1200 zł, fasolki szparagowej — 700 zł, papryki słodkiej — 1000 zł, papryki czerwonej — 2 tys. zł, marchwi — 350 zł, cebuli — 450 zł, ziemniaków — od 200 do 250 zł, kapusta 150 do 250 zł, kalafior — od 200 do 400 zł, litr bobu — 600 zł, pęczek pietruszki — 150 zł, rzodkiewki — 50 zł, białej rzodkiewki — 100 zł, por — 80 zł. Kilogram renklod — 450 zł, węgierki — od 300 do 500 zł, czerwonych porzeczek — 600 zł, litrowa miarka borówek — 2 tys. zł, szklarniowe arbuzy — 1200 zł. szklanka poziomek — 350 zł. Siedmiolitrowa miarka pszenicy — 1300 zł. Liwie — 500 zł, mietzki — 300 zł, floksy — 150 zł.

„Ciuchy”. Metr radzieckiego płótna na wyspy — 3 tys. zł, dżinsowa minispódniczka — 32 tys. zł, dżinsowe ogrodniczki „Kerry” — 30 tys. zł, męskie kąpielówki — od 3,5 do 8 tys. zł, komplet koronkowych serwet — 4 tys. zł, męski, filcowy kapelus — 15 tys. zł, rajstopy elastyczne „Chic” — 6 tys. zł, baletki — 10 tys. zł. Elektryczny samowar — 50 tys. zł, radziecka latarka na akumulatorce kadmowo-niklowe — 8 tys. zł, jednobiegowa wiertarka elektryczna — 50 tys. zł, chińskie pióro wieczne — 8 tys. zł, radziecka elektryczna zapalniczka do gazu — 3,5 tys. zł, ekspres do kawy — 15 tys. zł, pięć zyletek „Astra superior” — 1,5 tys. zł, 10 dag naturalnego pieprzu — 3,5 tys. zł, rolka papieru toaletowego — 300 zł.

Jaki jest interes polskiego chłopca, robotnika i inteligenta? Pojednanie? Uzdrowienie gospodarki? Nie. *Interes jest jeden i wspólny: ostateczna i nieodwracalna likwidacja rządów PZPR na każdym szczeblu i pod każdą postacią.* Taką wersję narodowego porozumienia zaproponowała 16 sierpnia sądecka „Solidarność”.

W przytomności dwustu słuchaczy niezależny i samorządny „związek zawodowy” zarzucił władzom *prowadzenie perfidnej gry obliczonej na zantagonizowanie polskiej wsi z mieszkańcami miast.*

W ulotce doręczonej wiecownikom, a następnie publicznie odczytanej, znalazł się pasztet treści następującej: *general Wojciech Jaruzelski nie jest godzien najwyższego urzędu w państwie — jego ręce splamione są krwią...*

W każdym demokratycznym ustroju prokuratura wie, co czynić należy w przypadku obrazy głowy państwa. Zobaczymy niebawem, w jakim kraju żyjemy. „Ręce splamione krwią” to chyba jawna obraza prezydenta Rzeczypospolitej. Czy nasza prokuratura podziela ten pogląd?



Idzie nowe?



Zdjęcia: ANTONI ŁOPUCH

Warto wiedzieć, że...

Od kilku tygodni prezentujemy w tej rubryce przemyślenia dotyczące przyszłego kształtu samorządów lokalnych. Dziś kolejne wypowiedzi przewodniczących gminnych rad narodowych. Czytelnik łatwo zauważy, jak wiele różnic ujawnia się w tej dyskusji.

HENRYKA DIDUCH — Se-kowa:

— Samorząd lokalny jako struktura organizacyjna władzy na najniższym szczeblu musi być wybrany w sposób demokratyczny, bez nomenklatury z jakiegokolwiek strony. Partie polityczne oraz organizacje społeczne powinny desygnować do samorządów ludzi odpowiedzialnych, mądrych, cieszących się autorytetem w swoim środowisku oraz chętnych do pracy społecznej. Rady narodowe staną się faktycznie najwyższą władzą lokalną, gdy

społeczeństwo w sposób demokratyczny wybierze do nich swoich najlepszych przedstawicieli, przygotowanych do decydowania o wszystkich sprawach swojego środowiska. Władze samorządowe powinny znać i rozumieć problemy i potrzeby społeczeństwa swojego terenu, identyfikować się z nim. Samorząd musi być kompetentny i skuteczny w rozwiązywaniu problemów. A to niemożliwe, jeżeli nie będzie dysponował środkami finansowymi — gwarantem jego samodzielności i niezależności w działaniu. Jednakże w naszej gminie nie widzę obecnie możliwości zwiększenia w istotny sposób własnych źródeł dochodów na finansowanie oświaty, kultury, zdrowia i opieki społecznej. Przyпускаjąc, że tak jak do tej pory — samorzady terytorialne będą ponosić koszty rzeczowe utrzymania tych dziedzin życia, natomiast budżet państwa będzie dotował wynagrodzenia pracowników.

Obecnie najwięcej robimy w gminie przy udziale czynów społecznych. Ogrodnym wysiłkiem mieszkańców

zgazyfikowano Siary, Sekową, Ropicę Górna, Męcinę Małą i część Męciny Wielkiej. W Siarach i Męcinie Wielkiej społecznym czynnem budujemy wodociągi. Tylko w ubiegłym roku mieszkańcy zbudowali 5 kilometrów dróg dojazdowych do pól. Brakuje nam jednak pieniędzy na wspieranie tych czynów, a nawet na remonty szkół. Rolnicy zawiesili płacenie podatków i kasa GRN staje się coraz bardziej pusta. Wyczerpałmy już wszystkie środki przeznaczone w tym roku na utrzymanie szkół i nie wiem, co będzie dalej. Nasuwa się gorzka refleksja: nawet najlepszy, w najbardziej demokratyczny sposób wybrany samorząd niewiele zdziała, jeśli będzie w naszej sytuacji finansowej. Mamy już obecnie znakomitych radnych, ale cóż z tego, skoro brakuje nam pieniędzy?

Co należy zrobić, by rada narodowa była rzeczywistą władzą lokalną? Musi mieć realny wpływ na wszystkie zakłady pracy na swoim terenie. Teraz nie możemy się doprosić, by przedstawiciele Stadny Koni czy SKR uczestniczyli w sesjach rady. Na szczęście mamy w gminie dwie wspaniałe Rolnicze Spółdzielnie Produkcyjne, które współpracują z GRN i Urzędem Gminy, służą pomocą społeczeństwu, pomagają w remontach szkół oraz ich wyposażeniu. Dobrze układa się współpraca z filią GS. Jest to jednak dobra wola wymienionych spółdzielni, a nie obowiązek wynikający z naszych

prerogatyw w stosunku do nich. Samorząd nie może być pentetem, musi być rzeczywistym gospodarzem terenu. Samorzadowi gminnemu powinna podlegać służba rolna. Podobnie — szkoły podstawowe i ośrodki zdrowia. Służby architektoniczne i geodezyjne należałoby umiejscowić w rejonach. Nie wiąże zbyt dużych nadziei z mieniem komunalnym, bo w naszej gminie nie ma zakładów pracy, a szkoły, ośrodki zdrowia, placówki kultury trzeba dotować. Czy z takiego mienia można czerpać zyski? Czy takie mienie komunalne może być podstawą finansowej egzystencji samorządu lokalnego? Sądzę, że nie. Również wpływ na Wojewódzki Fundusz Turystyki i Jęzpoczynku są u nas niewielkie, ale jest tem za utrzymaniem tego funduszu.

TADEUSZ TRYBUS — Gorlice:

— Jestem młodym stażem przewodniczącym GRN. Po kilku miesiącach obowiązywania znalezionego ustawy o systemie rad narodowych i samorządu terytorialnego trudno ją ocenić. Wydaje się jednak, że ustawę tę należy zasadniczo zmodyfikować.

Rady narodowe ciągle jeszcze nie są w pełni gospodarzami terenu, bo tylko działa to co im przyznano, przygotowano, zaproponowano. Nie mamy większych możliwości wychodzenia z własnymi koncepcjami, bo ograniczeni je-

To nie tylko inwalidzi...

W połowie poprzedniej dekady przeżyliśmy w tej kwestii prawdziwą ofensywę... zapowiedzi. Szefowie resortu budownictwa obiecywali, że w niektórych domach będą większe windy, które umożliwią wjazd wózkami inwalidzkimi. Schody w tych domach będą mieć pochylone umożliwiające zjazd tymi wózkami. Różne udogodnienia przyrzekli budowniczości ulic i łączą komunikacyjnych. Tam również miały być wydzielone pochylone dla przejazdu wózków, obniżone krawężniki, specjalne poręcze i uchwyty przy schodach i w podziemnych przejściach. Przemysł meblarski także nie pozostawał w tyle. Zapowiadał produkcję specjalnie skonstruowanych mebli — zwłaszcza krzesła i foteli.

I oto minęło lat kilkanaście. W zakresie troski o ludzi niepełnosprawnych prawie nic się nie zmieniło. Przynajmniej w sensie praktycznym. A przecież jest to duża grupa ludzi, składająca się nie tylko z inwalidów i osób kalekich, ale także starszych. Statystyka szwedzka — na przykład — do tej sfery niepełnosprawnych zalicza kobiety w zaawansowanej ciąży, matki z dziećmi na rękach lub w wózkach, dzieci w wieku przedszkolnym.

Wszystkie te kategorie obywateli wymagają szczególnej troski. I długo jeszcze będą mogły tylko wymagać, jeżeli dawne

zapowiedzi pozostaną na papierze. A pozostaną, jeżeli nie zmieni się u nas podejście do tego tematu. Oczywiście, niełatwo je zmienić, zwłaszcza w sytuacji głębokiego deficytu mieszkaniowego, produkcyjnego i rynkowego.

Próbowałem zasięgnąć opinii w kręgach społecznych i gospodarczych, od których najwięcej zależy. Wśród spółdzielców mieszkaniowych i w środowiskach budowlanych spotkałem się z następującym poglądem: jak mamy myśleć o mieszkaniach specjalnie przystosowanych dla inwalidów, skoro nie możemy nadażyć z budową normalnych mieszkań, na które czeka bez porównania więcej ludzi, i to od wielu lat?

Projektanci ulic i przejść komunikacyjnych — dowiedziałem się — są nawet za większym uwzględnieniem potrzeb ludzi niepełnosprawnych, ale nie mogą wymóc swoich propozycji na budownictwie komunikacyjnym, które ciągle jest „pod planem”. Meblarze także byłiby za, ale głęboki niedobór rynkowy zwykłych mebli zmusza ich do ustawicznego podganiań tej własnej produkcji i nie mają czasu, aby uwzględnić wysublimowane potrzeby. Chociaż ich nie negują.

Itak oto dochodzimy do obecnego etapu smutnej prawdy o naszej opiece nad ludźmi niepełnosprawnymi. Składa się ta pra-

wdą z trzech części: znajomości stanu rzeczy, świadomości, że „trzeba coś zrobić, bo tym ludziom się należy” i niemożności wykonania tego, co należałoby zrealizować. Pytanie tylko czy jest to niemożność faktyczna?

Oczywiście uwzględnianie specjalistycznego wyposażenia mieszkań, wykańczania ulic i np. przejść podziemnych czy innego profilowania mebli — musi kosztować. Nie jest to jednak koszt niebotyczny. A poza tym — są kontrahenci, zwłaszcza związki zawodowe oraz związki inwalidów, emerytów i rencistów — które mogłyby partycypować w tych kosztach. Z przeprowadzonego przeze mnie sondażu wynika, że wydzielanie takiego „wsadu” można by niemal bezwzględnie znaleźć. Dodatkowa pracochłonność mogłaby być opłacona.

Otwarta pozostaje sprawa zrozumienia i chęci. Ktoś wśród producentów i dystrybutorów z różnych (obyl) zainteresowanych branż musi pojąć, że na obecnym etapie rozwoju stosunków społecznych w Polsce nie ma innej rady, niż poważne potraktowanie potrzeb ludzi niepełnosprawnych. Są to przecież — jeśli wziąć pod uwagę nie tylko samych inwalidów — miliony obywateli, którym ta troska należy się ze strony państwa. Nie możemy w sprawach ludzi niepełnosprawnych działać niesprawnie. Spójrzmy zresztą prawdzie w oczy. Większy humanitaryzm z naszej strony ma również aspekt osobisty. I nam może się przydarzyć nieszczeście, i my będziemy kiedyś starzy...

JAN GROMEK

Drobne trucie

Trują nie tylko wielkie kombinaty i elektrownie. Aczkolwiek nie jest to łatwo obliczyć, to jednak specjaliści szacują, iż około 50 procent szkodliwych substancji przyjmowanych przez ludzkie organizmy pochodzi z tzw. małych źródeł. W stosunkowo łatwy sposób można te źródła eliminować, pod warunkiem przestrzegania elementarnych reguł ekologii i... higieny.

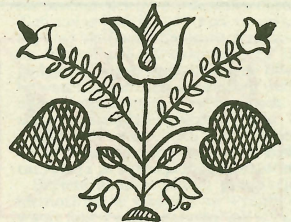
Pomiędzy zagrożenia biorące się z brudu na rękach i w zakładach gastronomicznych, a zajmijmy się ekologią. Do reguły należy na przykład wypasanie bydła w rowach przy drogach o dużym ruchu samochodowym. W efekcie mleko krowie, a potem wszelkie jego przetwory, jest bogate w ołów. Znaleźć go można w preparatach mlecznych dla niemowląt, dla których związki ołowiu są szczególnie groźne, działają niszcząco na kości, centralny układ nerwowy itd. Wiemy o tym i co? I nic.

Rośliny szczególnie łatwo wchłaniające toksyczne związki (sałata, kapusta, kalafior, marchew) uprawiane są w rejonach o dużym nasileniu skażeń powietrza. Pracownicy ogrody działkowe sytuuje się także w pobliżu uciążliwych dla środowiska zakładów. Szczęśliwi posiadacze ogródków uprawiają tam nie tylko kwiaty, lecz warzywa i owoce, spędzając w zanieczyszczonym środowisku każdą wolną chwilę.

Mimo niedostatku środków piorących na rynku, przywykliśmy obficie stosować detergenty, bez oglądania się na receptury zamieszczone na każdym pudełku proszku do prania. Ta niczym nie uzasadniona przesada nie ułatwia ani nie przyspiesza prania, za to wzbogaca miejskie ścieki o dodatkową ilość detergentów. Te zaś z byle jak oczyszczzonej wody rzecznej trafiają potem do naszych talerzy i szklanek.

Wylizankę tę można by kontynuować. Nie w tym rzecz. Rozejrzyjmy się wokół siebie i starajmy się unikać „małego trucia”, nie tracąc oczywiście z pola widzenia spraw ekologię w skali makro.

BOGUSŁAW WIKTOROWSKI



Murzyn może odejść?

Inwalidztwo i kalectwo staje się w Polsce coraz większym problemem społecznym. Liczba inwalidów i osób niepełnosprawnych ocenia się na około 5 mln. Wśród różnorodnych przyczyn tego zjawiska prym wiodą choroby cywilizacyjne (głównie układu krążenia, wypadki komunikacyjne i przy pracy). Mamy coraz więcej młodych inwalidów. Na przykład w 1987 r. prawie co trzecia przyznana renta inwalidzka dotyczyła osoby poniżej 44 roku życia.

Kiedy choroba serca zabiera nam kolegę z naszego wydziału nie myślimy o tym w kategoriach winy zakładu pracy. To może zdarzyć się każdemu. Warto jednak pamiętać, że większość schorzeń układu krążenia, układu nerwowego, onkologicznych powodowana jest jest m.in. przez trudne warunki pracy, często wręcz szkodliwe dla zdrowia. Według Państwowej Inspekcji Pracy ok. 1,5 mln ludzi pracuje u nas w warunkach zagrożenia zdrowotnego.

Odpowiedzialność przedsiębiorstw dotyczy więc nie tylko tych, którzy ulegli

wypadkowi przy maszynie czy na budowie. Odnosi się ona także do profilaktyki oraz przystosowywania miejsc pracy dla pracowników niepełnosprawnych, inwalidów zdrowia i pracy. A w ostatnich latach sytuacja w tym względzie jest nie tylko zła, ale się pogarsza.

W rozwiniętych krajach zachodnich, przykładem w RFN, istnieje obligatoryjny obowiązek przeznaczania pewnego procentu miejsc pracy dla ludzi niepełnosprawnych. Być może podobny zapis znajdzie się i u nas w przygotowywanej ustawie o gospodarowaniu zasobami pracy. Ale żadna ustawa nie da właściwego efektu, jeżeli środowisko pracy samo nie będzie zainteresowane w tworzeniu takich stanowisk, jeżeli sprawa ta nie znajdzie aktywnego poparcia związków zawodowych i samorządów pracowniczych.

Jak do tej pory stosujemy zasadę: Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść. Zapominamy tylko, że każdy z nas może nim zostać.

LUDWIK BURSKI

Zaprosili nas

Muzeum Okręgowe w Nowym Sączu na wystawę malarstwa Kazimierza Kopczyńskiego;

● Biuro Wystaw Artystycznych w Nowym Sączu na wystawę rzeźby Andrzeja Szarka;

● Wydział Oświaty, Kultury i Kultury Fizycznej Urzędu Miejskiego w Gorlicach wspólnie z Ośrodkiem Sportu i Rekreacji na VI Półmaraton Biegowy. Impreza odbędzie się w sobotę 2 września na 21,1 — km odcinku na trasie Gorlice — Ropica Górna — Gorlice. Start o godz. 11 z ulicy Obróńców Stalingradu. Zgłoszenia przyjmują do 28 sierpnia Ośrodek Sportu i Rekreacji, ul. Siemkiewicza 9; tel: 209 — 75 i 222 — 41.

● Dyrekcja Funduszu Wczasów Pracowniczych w Krynicy na koncert zespołów: „Egzystencja” oraz „Pasjans” ze Związku Radzieckiego.

steśmy nie tyle przepisami, co niewielkimi środkami finansowymi. Własne dochody mamy skromne, a dotacje ze szczebla wojewódzkiego są niewystarczające. Nasz budżet jest pozerany przez oświatę i służbę zdrowia, na inne zadania pozostaje tylko kilka milionów. Nie mamy pieniędzy na popieranie czynów społecznych.

Większość mieszkańców naszej gminy pracuje w gorlickim przemyśle, tam sprzedaje swoją pracę, profity z niej czerpie miasto, a gmina nie tylko nic z tego nie ma, ale brakuje jej rąk do pracy w rolnictwie. Uważam, że zakłady, w których pracują nasi mieszkańcy — powinny w jakimś stopniu świadczyć na rzecz gminy. Powinien powstać taki fundusz pomocy wsi, bo jeśli zabiera się nam siłę roboczą, to coś nam się za to należy. Jest to sprawa pilna, bo na wsi nie ma kto pracować, zostają staruszkowie, młodzi nie widzą w pozostaniu na wsi perspektyw dla siebie. Wieś musi się stać atrakcyjna, dostać maszyny i urządzenia.

Uważam, że podstawą przyszłej samorządności będzie samorządność finansowa, ale szeroko rozumiana. Samorząd lokalny musi mieć wpływ nie tylko z podatków. Wspominałem już o propozycji utworzenia funduszu pomocy dla wsi. Trzeba zakładać własny przemysł terenowy, wchodzić w spółki, tworzyć fundacje. Również wydatki przyszłego samorządu muszą być inne niż obecnie, bo np. jeśli nauczanie

bezpłatne jest konstytucyjnym obowiązkiem państwa, to dlaczego ma obciążać budżet samorządu lokalnego? Szkolnictwo należy wyodrębnić ze struktury samorządowej, służbę zdrowia również. Powinny działać na podobnych zasadach jak PKP, mieć oddzielną strukturę.

Na terenie wsi jest bardzo dużo niezałatwionych spraw uwłaszczeniowych, nie uregulowanych prawnie i geodezyjnie. Dlatego podstawowe służby geodezyjne powinny być umiejscowione na szczeblu gminy. Trzeba uelastyczyć przepisy o planowaniu przestrzennym. Architekci powinni być bliżej wsi, teraz zbyt dużo spraw z tego zakresu rozwiązywane jest na szczeblu wojewódzkim. Niechby architekt gminny zajął się jakością budownictwa, ładem architektonicznym i estetyzacją wsi.

Poziom służb rolnych w takiej rolniczej gminie jak Gorlice musi być wyższy. Rolnicy do dzisiaj chwalił sobie dawny model doradztwa rolniczego, kiedy agronomowie i zootechnicy byli częstymi gośćmi w gospodarstwie, radzili, pouczali. Mamy w gminie dwie szkoły rolnicze, ale nabór do nich jest niewielki. Myślę, że trzeba zmienić profil nauczania, by młodzież zorientować masowo w szkoleniu.

Weszliśmy w drugi rok kadencji rad narodowych. Miałbym niedosyt, gdyby kadencje skrócono, ale — z drugiej strony — z wprowadzeniem prawidło-

wo funkcjonujących, w pełni samodzielnymi i w pełni reprezentatywnymi samorządów nie można zwlekać. Demokratyzacja musi zejść w dół. Nie trzeba obawiać się nowego. Wybory do rad sołeckich, w pełni przecież wolne i demokratyczne, pozwoliły na wybór najaktywniejszych przedstawicieli środowisk — tych, którzy mogli i chcieli coś zrobić, bez względu na przynależność. Myślę, że w demokratycznych wyborach do samorządu terytorialnego również zostaną wybrani najlepsi, bez względu na kolor legitymacji. W samorządach powinni się znaleźć ludzie, którzy chcą pracować społecznie i cieszą się autorytetem. Muszą to być ludzie, którzy mają poukładane w głowach, potrafią prezentować swoje zdanie, mają koncepcyjny umysł i umiejętność przekonywania.

Naczelnicy powinni być wybierani przez samorząd i jemu podporządkowani. Był organami wykonawczymi samorządu. Administracja lokalna powinna być jedna, bez podziału na samorządową i państwową. Samorząd musi być jedynym gospodarzem terenu, a wszystkie jednostki i zakłady pracy — podporządkowane mu. W tej chwili GRN nie ma wpływu na SKR, POM i wiele innych przedsiębiorstw i instytucji. Rolnicze Spółdzielnie Produkcyjne coraz mniej zajmują się rolnictwem, a coraz więcej kooperacją z przemysłem. Jest to rozwiązanie wręcz patologiczne, lecz w obecnym

stanie prawnym rady narodowe nie mogą mu się przeciwstawić.

Widzę potrzebę konsultowania projektów budżetu wojewódzkiego z samorządami miejskimi i gminnymi. Budżet gminy konstruujemy z potrzeb i postulatów poszczególnych rad sołeckich. Rady te powinny mieć prawo weta w stosunku do uchwał GRN dotyczących żywotnych interesów mieszkańców danej wsi.

A co z dotowaniem kultury czy komunikacji? Utrzymać Wojewódzki Fundusz Turystyki i Wypoczynku czy nie? Uważam, że placówki kultury powinny w pewnym stopniu na siebie zarabiać. Gminne Ośrodki Kultury muszą ożywić działalność i rozszerzyć ofertę. Kultura bez dotacji chyba się jednak nie obejdzie. Nie dotowałbym natomiast absolutnie komunikacji miejskiej, WPK oddałbym w agencję. O Wojewódzkim Funduszu Turystyki i Wypoczynku mam negatywne zdanie, bo Polska jest jedna i obywatel nie powinien płacić haraczu za to, że jedzie do województwa nowosądeckiego, jeleniogórskiego czy śląskiego. Zadbajmy raczej o uatrakcyjnienie pobytu u nas, rozwijmy przemysł pamiętarski, zadbajmy o atrakcyjne towary, dobre drogi, parkingi, hotele, a ludzie będą z własnej woli, bez przymusu zostawać w naszym regionie pieniądza, które zasila budżety terenowe.

ROMAN KOSTANECKI

czyli przeważnie sprzed daty swego urodzenia; rzecz prosta wyłącznie tych okrzyków, które dyskredytowały PKWN-owską Polskę Ludową. Nie ludzmy się dzisiaj frazeologią antystalinizmu; za przede wszystkim dyskredytowały, że właśnie Ludowa. Cóż może być dobrego z Nazare? Czym uczciwym może być lewica, wykłedyt ludzi? Nie zapomniałem, jak dziadusiowie tych, którzy dzisiaj pragnęliby odjąć nazwie Rzeczypospolitej jej ludowość, że wżgarda i samozachwytem śpiewali w czterdziestym piątym, w czterdziestym szóstym:

*Gówno w trawie zapiszczało,
Choć leżało przedtem równo,
Bo się nagle dowiedziało,
Że dziś ważne nawet gówno.
Tę piosenkę, że z przerwki,
Śpiewam dla pana Osóbki...*

A może kto zaprzeczy, że adresem tej pogardy był właśnie obóz ideowy PKWN-u? To za „agenturalność” po przegięt taki? Czy za plebejskość raczej? Ze gdzie PKWN istnieje, dowiedziałem się 7 sierpnia 1944. To był pierwszy dzień wolności mojego wteży miasta; Sambora. Jakis krasnoarmiejk (uwaga! toż jest to świcy na agenturalność dowód!) dał mi wydana po polsku broszurkę, chyba rotograviurowa, ze spisem uczestników nowej władzy i z ich fotografiami. Przewodniczącym KRN okazał się Bolesław Berut (korektol nic tu nie poprawiaj! ten bład sporo mówi historykom...), a przewodniczącym Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego — Edward Bolesław Osóbka-Morawski. Nie przysięgnę dzisiaj czy w tym właśnie ur. ale nazwisko Osóbka pisano przez u.

Tamto zaś „dla Osóbki” śpiewanie pamiętam, bo pamiętam siebie nastoletniego; bodaj akurat dzięki tym dziarskim zrotoczkom pierwszy raz do głowy mi przyszło, że chyba więcej szunszności jest przy tych ludzich nieważnych, dla których błękitnokwiste usta ekskrement wybrać raczyły na symbol, aniżeli przy chwalcach takiej Polski, co to ją „raz nam wrócić”. I najważniejsza pewno sprawa z programu PKWN (fasadowego, pod kremloviskie dyktando drukowanego — czy tak?) z wolna zaczęła stawać się moją sprawą; upomnienie się o pokrzywdzonych. Na wiele wód musiałem patrzeć, jak spływają Nidrestem, potem Sanem i Wisłą, zanim uznałem całkowicie, że to ci od Manifestu mają rację. Zanim moje pojmo-

PKWN — i ci, którzy chcą go osądzić

wanie szunszności przyłączyłem do ich pojmowania. Takich jak ja były niezliczone setki.

No to jak mógłbym nie być wdzięczny Krystynie Kersten za następujące zdanie: „Dla komunistów i niektórych socjalistów, wraz z wkroczeniem Armii Czerwonej otwiera się szansa nowego, sprawiedliwego porządku społecznego, o jaki pod czerwonym sztandarem walczyli pokolecia rewolucjonistów?” Tak, oto racja PKWN, a z biegiem lat i moja racja.

PKWN w wywodzie Krystyny Kersten jawi się jako urzeczywistnienie pewnego dwójkielkiego stanowiska: politycznego, a także ideowego. „Racje twórców KRN, a potem PKWN, były ideologiczne i pragmatyczne”. Tę wypowiedź z artykułu „Gazety Wyborczej” wypisałbym każdemu polskiemu uczniowi na obwołucie podręcznika historii. Gdyby ją nieco modyfikując z grecką wyrazić, znaczy ona, iż twórcy PKWN-u tą drogą, którą poszli, zarówno pójść chcieli, bo to była droga zgodna z ideałami ich życia (ów „czerwony sztandar” z cytatu), jak też równocześnie — i całkiem niezależnie od blasku wszelkich ideałów — pójść musieli, bo dla Polski w roku 1944 (a dokładniej: od wczesnej wiosny 1943) inna droga nie istniała. Inna realna droga; chyba żeby ktoś chciał wprowadzić swoją Ojczyznę na którąś z dróg nadrealnych, mirażowych. Tacy byli.

Jasno powiedzmy: ci z analizy Krystyny Kersten ludzie PKWN-u stawali przy Związku Radzieckim, bo czuli z nim solidarność przez wzgląd na swój dawny już, długoletni wybór ideologiczny (i trwali przy tym wyborze, choć najgruntniej wiedzieli o nieprawościach i zbrodniach, jakie stały się rakową tkanką radzieckiego socjalizmu; mało że wiedzieli, przecież tak często sami byli ofiarami tego zrywania — a jednak ponad gorzyc osobistej kryzysy przekładali upartą wierność ideałowi sprawiedliwości; pomimo wszystko). Ale równocześnie stawali przy Związku Radzieckim, bo nie dało się inaczej, bo tylko o Związek Radziecki mogła się wtedy oprzeć Polska, jeżeli chciała realnie istnieć i swoim dzieciom w swoich szkołach dawać do rąk *Dziady* dreźniekiego *araz Przewodnie*. O Związku Radziecki, jaki był, i jakikolwiek byłby: ze Stalinem,

bez Stalina. A może powinienem powiedzieć jeszcze wyraźniej: o sąsiadujące na zawsze z nami mocarstwo narodu rosyjskiego, jakiejkolwiek by flagi używało. Zwłaszcza jeśli to mocarstwo wyeliminowało Niemcy z klasycznego układu równowagi środkowoeuropejskiej, czyli wreszcie rozbiło ten mechanizm dwu młyńskich kamieni, pomiędzy którymi wedle okrutnej wizji Żeromskiego egzystuje Polska. Sojusznicstwo otwarte ku wschodowi, lojalne i przyjazne sojusznicstwo — to była dla Polski jedyna droga. Wybór tak dalece jedyny, że najwyświejściej nie było wyboru. Kwestia tylko, kto miał wiać na siebie odpowiedzialność za funkcjonowanie tej proradzieckiej, przyradzieckiej Polski roku 1944 oraz czterdziestu pięciu dalszych lat. Wzięli ją na siebie komuniści i ich lepsi bądź mniej wierni przyjaciele. Nikt inny nie mógł tego uczynić. Gdyby w chwili dochodzenia Związku Radzieckiego do wielkiego wojennego zwycięstwa nie było w Polsce komunistów u władzy, nie było PKWN-u, nie byłoby i Polski. To drastyczna prawda, niesmakowita, ale prawda. Wiem, także z rodzinnego — a i własnego — doświadczenia, jak wysokie były koszty wdrażania Polski Ludowej. Jednak w perspektywie, o której tu mówimy, kto śmie powiedzieć, że nazbyt wysokie? Jaka jest nazbyt wysoka cena za istnienie Polski? A jasne jest, że Polska Ludowa była jedyną możliwością istnienia Polski i ocalenia Polski.

Taki stan rzeczy sprawiał, iż do owych opisanych przez Krystynę Kersten komunistów oraz „niektórych” socjalistów przyłączyli się jako partnerzy ludzie dwu różnych pokroju. Dwu: ponieważ jedni kierowali się motywem ideologicznym, drudzy pragmatycznym.

Ci pierwsi szukali szans dla urzeczywistnienia się sprawiedliwości; a Polski sprzed września 1939 mieli dosyć, gdyż własne życiowe doświadczenie, wymowniejsze od wszelkiej propagandy, pouczyło ich, że ta Polska przedwojenna krajem sprawiedliwym nie była. I najkompletniej nie przejmowali się tym, że właśnie jakoby obowiązywał ich kwietniowa konstytucja jej owiej niesprawiedliwej Polski; czyż to ideologom „Gazety Wyborczej” potrzeb-

ne jest uświadomienie, jak można odzwuwać zupełną obojętność konstytucyjną uchwalonej i prawnie obowiązującej?

Ci drudzy zaś byli gotowi wesprzeć każdą praktykę polityczną, która zorganizuje (nareszcie!) dobre stosunki sąsiedztwa pomiędzy Polską a Rosją. Dlatego — nie bacząc na wszystkie trudności, dramaty i błędy epoki — orientacja PKWN, skomplementowana przytoczonymi słowami „sowiecka agentura”, znajdowała pewne istotne zrozumienie u wielu Polaków wychowanych w myśleniu endeckim. Tacy wiedzieli, że nie jest wcale wstydem politykę państwa średniej wielkości orientować na sąsiadujące mocarstwo.

I w tym względzie potrafili przytłumić swój oczywisty, tradycyjny antykomunizm. Bywa i z węża driakiew.

Tak zgadzam się z Krystyną Kersten, we wszystkim bez mała, że może powinienem wycofać początkowe zgryźliwość przeciw „Gazecie Wyborczej”. Skoro opublikowali taki wyważony i prawdziwy artykuł!

Nie wycofam. Bo oto osiem dni później na rozkładówce „Gazety”, wśród listów do redakcji, ukazał się tekst Anny Baniewicz, krytykujący marszałka Senatu, Andrzeja Stelmachowskiego za to, że w dniu państwowego święta stał na państwowej trybunie obok Prezydenta państwa. A nie powinien. Profesor Stelmachowski reprezentuje „Solidarność”, ta zaś „... głosi przecież, że dąży do wolnej i niepodległej Polski. Rocznicą PKWN jest tego zaprzeczeniem”.

Widać, że rozważny artykuł Krystyny Kersten niczego autorce listu nie mógł ofiarować. Anna Baniewicz sprawę, która ją zajęła, widzi bez światłocienia. Nie ma wątpliwości. Uczy marszałka, jak winien być marszałkiem. I nie ujawnia ni śladu refleksji, że gdyby nie tamten przed czterdziestu pięcioma laty dzień „wprowadzenia władzy komunistycznej”, i tamto odważne samozaparcie ludzi PKWN, nikt nie wydzignąłby w Polsce trybunę, na której „po huku, po szumie, po trudzie” mógłby w roku 1989 stanąć — niechby nawet obok komunisty — solidarnościowy marszałek Senatu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Czy Anna Baniewicz sądzi, że jeśliby w tamtym lipcu komuniści nie objęli władzy, władza przeszłaby w te właśnie ręce, które samej Annie Baniewicz wydają się władania najgodniejsze?

ZBIGNIEW SIATKOWSKI



● Pan Władysław Mrozowski z Nowego Sącza:

Władze Nowego Sącza wyszły w swoim czasie z inicjatywą, nader słuszną, tzw. uspokojenia ruchu u centrum miasta. W rezultacie doczekał się urzędzenia ogromnego parkingu w pobliżu śródmieścia przy ul. Obrótców Narwiku. Parking ten jednak niemal stale pozostaje prawie pusty. Nicco lepiej bywa tylko w okresie lata i w dni wolne od pracy, ale i tak zajęta bywa nie więcej niż 1/4 powierzchni. Natomiast w zakresie organizacji ruchu w śródmieściu nie absolutnie się zmieniło, to znaczy w dalszym ciągu jest ona fatalna, nie tylko gdy chodzi o przeciążenie śródmieścia ruchem pojazdów, ale dotyczy to szczególnie parkowania, w rezultacie czego obserwować można zajmowanie postojów taksówek, spychanie przechodniów z chodników na jezdnie przez dowolnie zaparkowane samochody, łamane są płyty chodnikowe itd. Nie tak dawno była cała akcja wymiany takich płyt.

Koszty ponosi oczywiście miasto (to znaczy mieszkańcy), a są przecież i inne straty (pomijając już zagrożenie zdrowia ludzi — rzecz niewymierna), bo parking nie przynosi założonych dochodów, przy ogromnych wydatkach na urzędzenie takiego obiektu, a to wszystko dlatego, że nie podejmuje się dalszych, uprzednio przewidzianych działań. Wchodzą tu w grę kwoty z pewnością niebagatelne, a cały ten obraz nie bardzo pasuje do stolicy

województwa, bądź choć turystycznego.

Tak więc piękne zamierzenia pozostały na papierze, zaś mieszkańcom pozostaje zadowolić się obietnicami, notabene przekazanymi przez publikatory przed blisko już rokiem.

Czy sprawa ta nie zasługuje na poważne traktowanie, zwłaszcza, że setki sądeczan, przechodząc ul. Piotra Skargi obok parkingu świecącego pustkami, mają co dzień sposobność pastercz na kolejny przejazd „ogólnej niemożności”?

Od redakcji: Zamiar uwolnienia centrum miasta od nadmiernego ruchu samochodowego zawsze sprawia kłopoty, gdyż prowadzi do konfliktu interesów: inaczej do sprawy podchodzą zmotoryzowani, inaczej mieszkańcy centrum. Szczególnie wyraźnie ta rozbieżność interesów występuje w miastach przyjmujących dużą rzeszę turystów (np. w Zakopanem). Nikomu też chyba nie udało się tego problemu rozwiązać jednorazową decyzją — w Krakowie przez wiele lat „przymierzano się” do zamknięcia Rynku dla pojazdów spalinywych. W Nowym Sączu będzie to łatwiejsze do przeprowadzenia, ponieważ duży parking przy Bulwarze Obrótców Narwiku już istnieje (trzeba tylko bardziej zadać o jego spopularyzowanie), a ponadto — dzięki obwodnicy nad Kamienicą — jest szansa odciążenia śródmieścia.

Do usąg p. Mrozowskiego warto dorzucić np. propozycję skierowania komunikacji z alei Batorego i ulicy Długosza na most w ulicy Lwowskiej; czy mieszkańcy osiedla Burskie muszą z dworca PKP lub PKS jechać przez Rynek?

Oczywiście każda zmiana musi być solidnie przemyślana, by rozwiązując jeden problem nie tworzyć nowego (skierowanie linii „7” przez most w ciągu ul. Lwowskiej wymaga otwarcia linii z rejonu ul. Piotra Skargi w stronę ul. Paderewskiego). Zaproponowałismy prezydentowi Nowego Sącza udostępnienie łamów „Dunajca” dla prze-

rowadzenia publicznej dyskusji nad koncepcją racjonalizacji ruchu samochodowego w mieście. Po wakacjach ofertę tę ponowimy.

● W kilku listach — zwłaszcza od osób starszych, które z niejednego pieca chleb jadły — powtarza się pytanie: *co dalej z Polską?* I nie jest to na ogół pytanie o przemiany polityczne, lecz o perspektywę gospodarczą. Szok cenowy rodzi wiele wątpliwości. Nie mamy w zespole redakcyjnym ekonomistów, nie zaryzykujemy więc własnej prognozy. Może komentarz Bogusława Reichharta — choć w części — odpowie na pytania naszych Czytelników?

W Polsce nie ma bezrobocia, ale nikt nie pracuje. W Polsce nikt nie pracuje, ale plany są wykonane. W Polsce plany są wykonane, ale półki w sklepach są puste. W Polsce półki w sklepach są puste, ale każdy ma coś w domu. W Polsce każdy ma coś w domu, ale wszyscy narzekają...

Do tego cytatu z prasy francuskiej, przytoczonego przed paru laty przez miesięcznik „Zdanie”, moglibyśmy teraz niejedno dodać z własnych doświadczeń. Przecież, gdy wszyscy narzekają — to jest kryzys. A właśnie — jaki to kryzys, skoro co roku przybywa w naszym kraju 300 tys. prywatnych samochodów osobowych?

Co to za kryzys, skoro buduje się na nie 200 tys. mieszkań rocznie? Pewnie że to za mało! Są możliwości budowania więcej i szkopuł w tym, żeby je wreszcie w pełni wykorzystać. Ale i tak nikt u nas nie mieszka pod mostem i słumsów półki co nie są zaważone.

Jaki to kryzys, skoro 8 milionów, prawie jedna czwarta obywateli — wliczając starców i niemowlęta — wyjeżdża rocznie za granicę. Stać ich na to.

Nie patrzmy jednak na najłatwiejsze argumenty podważające dolegliwości naszego kryzysu. Nikt przecież nie kryje, że poziom życia jest u nas bardzo zniżony. Co dla jednych jest chlebem powszednim, dla innych sta-

nowi problem nie lada. Wielu ludzi nie interesują samochody, nie mają też np. zamiaru budować domu jednorodzinnego. Ledwie stać ich na to, żeby wiać koniec z końcem. Kryzys niedostatku prostych dóbr jest dotkliwy dla wielkiej części społeczeństwa. Kryzys dołka, bo rak inflacji zżera nam zarobek, a placą ma słaby związek z pracą.

Kluczem do przezwyciężenia tego kryzysu, do poprawy — tkwi w zamku gospodarki. Wszystko zależy od tego, czy, kiedy i jak potrafimy go przekreślić. My wszyscy. I ci, którzy odpowiadają za całość sytuacji, i ci, którzy w sensie fizycznym najbardziej dotyczą, czyli ogół polskiej społeczności. Reformy i antykryzysowe działania to nie tylko sprawa rządu czy opozycji. To dziś już ogólnonarodowy obowiązek. Czy może nam w tym pomóc świat i Europa?

Przy wszelkich rozważaniach, szacunkach i rachubach warto pamiętać o słowach prezydenta Busha wypowiedzianych niedawno w naszym parlamencie: *Reformowanie gospodarki polskiej niesie historyczne wyzwanie. Nie może być żadnego substytutu dla własnych wysiłków Polski. Ale chcę podkreślić Wam dziś, że Polska nie jest samotna. Świadoma wielkiej chwili Stany Zjednoczone są gotowe pomóc, jeżeli pomożecie sobie sami.*

Jest się nad czym zastanowić. Czym bowiem Polska może najskuteczniej pomóc sama sobie? Nie powinniśmy mieć wątpliwości, że przede wszystkim lepszym rozwiązaniem jest, lepszą organizacją, lepszą pracą. Hugo Kółbajt pisał przed dwoma wiekami: *... Nie dosyć jest wielką wstawić machinę, trzeba ją tak porządnie wewnętrznie urządzić, żeby z nią i całości Rzeczypospolitej i każdemu człowiekowi w krajach polskich będącemu było dobrze, żeby Polak cieszył się, że jest Polakiem, a przedchodzącym żądał mieć Polskę swoją ojczyzną.*

Cóż dodać do słów wielkiego reformatora?

— Zwariował ten świat! — złości się klientka, która na pytania o masło, mleko, bułki otrzymała jedną odpowiedź: nie ma. — Nie dość, że ceny skaczą jak pchły, to nic dostać nie można.

Sprzedawczyni tłumaczy, że masła akuratu zabrakło, mleko już się skończyło — jest godzina 9.30 — bułek nie dostaje od wielu dni. Ser topiony, żółty? — Czekam na dostawę.

Faktom nie da się zaprzeczyć: ani tu, w sklepie przy ul. Manifestu Lipcowego, ani w „Halce” nie dostanie się teraz masła, jajek ani serów. Mleko — tylko w „Halce”. Bułek — nigdzie.

Również w piekarni znajdują wyłącznie chleb. — Za dużo piekarni — wyjaśnia sprzedawczyni — piekarze nie nadążą by z bułkami.

W obu szczawnickich sklepach mięsnych wiszą po dwa-trzy gatunki kiełbas: żuławska, rzeszowska, toruńska. Jest wolow z kością i kurczaki; tańsze o kilkadziesiąt złotych niż w Nowym Sączu.

Masło, sery i jaja znajdują dopiero w sklepie nieopodal Urzędu Miasta. Chyba właśnie przywieziono zaopatrzenie, bo ciężarówka odjeżdża spod sklepu.

★

W części „przemysłowej” Domu Handlowego „Halca” ruch niewielki, bo i towaru niezbyt duży wybór. Jak wszędzie. Tylko do jednego stoiska ogromny ogonek. — Co tu dają? — pyta zadyszana dziewczyna, która właśnie wbiegła po schodach i dołącza do kolejki. — Stani ki — słyszy odpowiedź.

Coś się zmieniło od poprzedniej mej bytności w „Halce”. Aha, zlikwidowano stoisko z książkami i materiałami papierniczymi. Później odnajduję przy ul. Szalaya nowy sklep, do którego ten dział przeniesiono.

★

Namnożyło się w Szczawnicy butików. Oferują to samo, co w innych miastach: modne szmatki, buty, sztuczną biżuterię. Klientów (a szczególnie klientek) nie brakuje. Szczawnickie dziewczyny przychodzą, bo chcą dorównać tym z wielkich miast i z telewizyjnego okienka, czasowiczki — bo mają czas, a zawsze jest szansa trafienia na coś atrakcyjnego.

★

Na targowisku naprzeciw „Halki” wśród kupujących przeważają czasowicze i turyści. Z miejscowych mało kto musi kupować owoce czy „góralskie” swetry. Patrzę na ceny: jabłka tańsze niż w Sączu, pomidory kosztują tyle

ELŻBIETA GLINKA

OPTYMIZM PRZYCZERNIONY

samo. Swetry — od 20 do 25 tysięcy, owcza wełna — od 19 do 21 tysięcy, futrzane kaptcie — 5,5 tysiąca złotych. Mały serek niby owczy, bo czerwona barwa świadczy o sporej domieszce mleka krowiego, kosztuje 80 złotych, duży — 1400. Amatorów kupna niewielu.

★

Jest 10 sierpnia, początki urynkowania handlu żywnością. Nic więc dziwnego, że wokół sklepów koncentrują się nadszanie i — częściej — obawy ludzi. Mieszkańców Szczawnicy też one nie omijają. — Nie za wiele sobie obiecujemy korzyści — mówi pani Zofia S. — bo u nas mało kto żyje z rolnictwa. Ludzie lękają się więc czy kie-szenie nastarcza potrzebom, no i czy „goście” — czasowicze, dający niemają wkład do naszych rodzinnych budżetów, nie zrezygnują z coraz droższego wy-poczynku.

★

„Goście” różnie organizują sobie pobyt w Szczawnicy. Nawet ci, którzy przyjeżdżają indywidualnie, przeważnie wykupują obiady w prywatnych stołówkach lub jadają w którymś z szczawnickich barów czy restauracji. Jeśli obiad zapewniony, na śniadanie i kolację można zjeść byle co. A o obiad nietrudno: w „Halce”, „Nad Grajcarem”, w „Palenicy” wybór potraw spory i na różną kieszeń. „Grajcarek” — na przykład — proponuje dziś 10 dań barowych — od płucki za 340 złotych do pyz z mięsem za 1129 złotych, kilkanaście dań obiadowych, z których najdroższy jest pieczony kurczak z ziemniakami i surówką — za 1892 złote. Kasjerka Maria Malik zapewnia, że nikt nie odejście głodny. — Mamy w zapasie mrozonki, więc w każdej chwili możemy przygotować gorącą potrawę.

★

Jedynym gestorem handlu uspołecznionego jest w Szczawnicy Gmina Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska”. Dopiero planuje się budowę pierwszego sklepu Państwowego Hurtu Spożywczego w Osiedlu XX-lecia. Czy wolny rynek przy-

spieszysz rozwój handlowej konkurencji? Ano, zobaczymy.

Prezes Zarządu GS, Grzegorz Pilecki, twierdzi, że bardzo by się cieszył. Oby tylko było czym handlować.

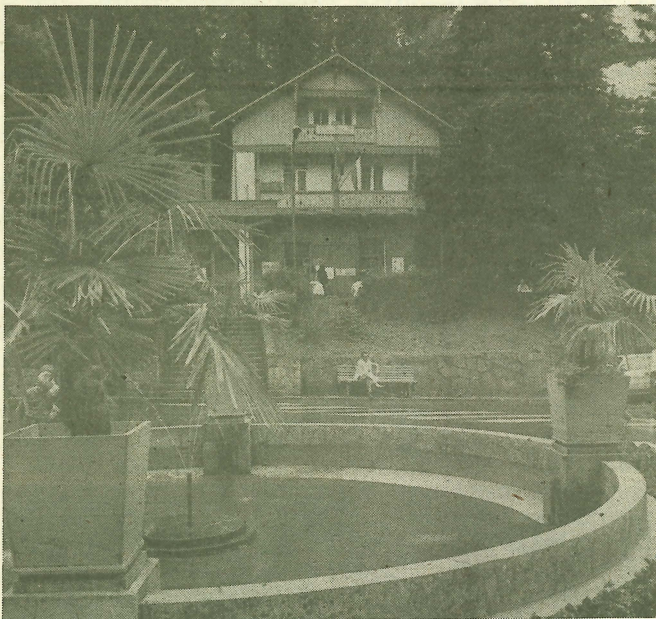
Na pytanie o dzisiejsze pustki w sklepach wyjaśnia: — Masło wczoraj „wymie-tli” klienci, bo dowiedzieli się o podwyżce ceny od dzisiaj. Ciągłą sprzedaż mleka prowadzą trzy sklepy i tam na pewno nie zabraknie (rzeczywiście, w tych sklepach było). Podobnie z serami; jeśli dziś wyją-

kowo zabrakło — to znaczy, że klienci wykupili w obawie przed podwyżką, ale z pewnością już dostarcza się nową partię.

Martwią natomiast prezesa trudności z utrzymaniem ciągłej sprzedaży pieczywa. Brakuje (w całym kraju zresztą) mąki tzw. produkcyjnych, szczególnie żytniej. Z pieczeniem bułek piekarze nie nadążają — wiadomo, sezon turystyczny, więc wykup kilkakrotnie większy. Tylko podczas zmiany turnusów, gdy w Szczawnicy mniej ludzi, można bawić się wytwarza-niem pieczywa drobnego. Ostatni więc raz jedli szczawniczanin bułeczki tydzień temu. Dziś — jeśli ktoś miał szczęście, ku-pił bagietkę.

O mięso jeszcze w lipcu było w Szczaw-nicy łatwiej niż w sąsiednich miejscowos-ciach; klienci przyjeżdżali tutaj nawet z Waksmundu. Likwidacja kartek sprawiła, że popyt — mimo wysokich cen — wzrósł.

(CIĄG DALSZY NA STR. 14)



Fot. PAWEŁ JAROSZEWSKI

KACIK pptk. Głińskiego

Żyli sobie jak w tej fredrowskiej opowieści — Józef na górze, a Janusz na dole. Józef spokojny, nie wadził nikomu, Janusz zaś wyczytniał swawole najdziwniejsze, choć bardziej współczesne niż opisane przez hrabiego Aleksandra. Łączyło ich jedno — byli braćmi. Ojciec, przed zejściem z tego świata, podzielił dom między synów po równo, wyznaczając także w testamentie, co któremu miało przypaść z ruchomości. Józef, pracujący w pocie czoła, systematycznie swój majątek powiększał, Januszowi zaś wszystko się jakoś dziwnie nie układało, aż pozostały mu niemal gołe ściany domu; łóżko, rozchwyany stół i parę drobnych sprzętów domowych. Do pracy miał chorobliwą awersję, natomiast bardzo lubił przebywać w wesolych towarzystwach, gdzie zawsze działa się coś ciekawego. W krótkim stosunkowo czasie stał się jedynym z filarów zakopiańskiego półświatka. Nieraz przydarzały się Januszowi przerwy — w towarzyskiej działalności, spowodowane orzeczeniami sądu lub kolegium do spraw wykroczeń. Po opuszczeniu miejsc osobobnienia niezmi-

nie wracał do swych przyjaciół i dotychczasowego sposobu życia.

W Januszowej części domu tętniło życie towarzyskie. Bywali tu sprawdzeni kumple. Odwiedzało go często małżeństwo, które w poglądach na życie zgadzało się prawie idealnie — wychodziło z założenia, że należy cieszyć się dniem dzisiejszym, żyć wesoło, a o perspektywę dalszą nie ma co dbać. Przychodził pewien mocny facet z Małego Żywcańskiego, który mógł wypić parę butelek i jeszcze się na nogach trzymał. Wspólnie z nim bywał pan Sylwester, który też kiedyś miał kondycję, choć teraz... Zjawiały się dwie siostry, które dosyć dawno opuściły dom rodzinny w poszukiwaniu lepszego życia i przez czas jakiś brylowały na

się na przechadzkę po zakopiańskiej promenadzie i tam spotkali kumpla — Władka, dzierzącego siatkę wypchaną „szkłem”. Władek oznajmił, że po przerwie znów wrócił do nauki, bo nie dla niego życie w wstrzemięźliwości. Z powodu tego „nawrócenia” zaprosił ich na ucztę. Rozpoczęli w bramie, gdzie z „gwinta” wypili pół butelki „jabłocka”. Potem Władek wyciągnął prawie pełną butelkę denaturatu, zaserwował pieniądze i kupiono to, co pozwałało sporządzić „rozróbkę”. Tymczasem pojawił się w towarzystwie dawny narzeczony Grażyna. Rzecz zrozumiała — nie przyszedł z pustymi rękami: w siatce miał swoją „rozróbkę”. Aby nie zwracać zbytnio na siebie uwagi, towarzystwo wybrało się na

się natrętny Jasiek z butelką denaturatu i flaszczyką kropli ziołowych służących do jego rozrobienia. Pito dotąd, aż uczestnikom biesiady urwał się film.

Rankiem znów rozległo się umówione pukanie do drzwi. I tym razem był to Jasiek. Przyński znow z sobą butelkę „rozróbki”. Butelkę szybko opróżniono i Jasiek powędrował do miasta po następne dwie butelki. Widocznie — sądziła Grażyna P. — znów wczoraj oskubał kogoś na „Olimpie”.

Spożywany alkohol z upływem czasu działał coraz skuteczniej. Wzajemne pretensje coraz bardziej dawały znać o sobie. Każdy w tym trójkęcie miał do pozostałych jakieś zdawione anse. Docinki wzajemne i kłótnia to wzma-gały się, to przycichały. W pewnej chwili Janusz powiedział do swej wybranki z fantazją: — Jeżeli mnie kochasz, to mnie zabij. Grażyna bez zastanowienia uderzyła Janusza trzymanym właśnie nożem w okolice serca. Rana okazała się śmiertelna. Lekarz przybyłszy karetki reanimacyjnej, którą wezwał Jasiek, niewiele miał już do roboty. Sekcja zwłok wykazała, że Janusz doznał urazu tkanki pierśiowej z przebieciem serca wraz z tamponadą worka osierdziowego i krwotokiem do jamy płucnej.

Grażyna P. i jej były amant ustalili jeszcze przed wezwaniem pogotowia ratunkowego, że milicji i prokuratorowi przedstawią wersję o samouszkodzeniu się Janusza. W wersji tej trudno było jednak znaleźć choć szczyptę logiki, nie więc dziwnego, że po jakimś czasie od tych ustaleń odstąpili. Przyszła pora powiedzenia prawdy.

Nadestany z Zakładu Medycyny Sądowej wynik badania krwi na zawartość alkoholu wykazał u wszystkich uczestników libacji jednakowy wskaźnik — 3,2.

„Jeśli kochasz” — zabij

parkietach najprzedniejszych zakopiańskich restauracji, lecz kariera się im zwinęła i zeszyły w zawodzie na dno. Po kolejnej odsiadce w domu Janusza pojawiła się Grażyna P. i pozostała tu na dłużej, choć i jej zdarzały się niezapowiedziane odskoki w bok. W ślad za nią przywędrował dawny jej amant — Jasiek, który nie umiał przeboleć pójścia w odstawkę. Wciąż za Grażyną chodził i chodził. Grażynie jednak dobrze było z Januszem, chociaż żyli ze zbierania butelek, gotując ekspresowe zupy i pijąc denaturat — w ilościach niemałych. Po grubszej popijawie ten i ów dła wykazania się charakterem dokonywał na sobie „sznitów” czyli cięć zyletką, najczęściej po rękach. I tak się żyło.

Tego dnia Grażyna i Janusz wybrali

tw. „Olimp”. Jest to lasek powyżej trochę spokoju przed niepowołanymi osobami. Tu szybko zebrało się większe towarzystwo. Do naszych znajomych dołączyli bowiem Edek i Bogdan, który dopiero co opuścił zakład karny.

Janusz i Grażyna niedługo jednak zabawili w tym towarzystwie. Po wypiciu iluś tam kolejek, na dobre samopoczuciu, zaciągnęli u Władka pożyczkę i poszli dokonać zakupu wiktuałów spożywczych, a potem odpocząć w domu po trudach dnia. Niedługo jednak dane im było cieszyć się samotnością. Do okna zapukał Wojtek wraz z kolegą i — zgodnie z obyczajem tego domu — zostali przyjęci. Gdy zaczęto pić przyniesione przez nich wino, zjawił

ANNA SZOPIŃSKA

CHŁOPCY Z TAMTYCH LAT

Hala Malinowa jest miejscem pamięnym z okresu okupacyjnych walk polskich i radzieckich partyzantów z faszystami hitlerowskim. Latem 1944 r. była tu siedziba sztabów oddziałów partyzanckich Armii Krajowej: „Chelm”, „Harnasie”, „Huta Podgórze” oraz grupy radzieckich partyzantów „Walka”. Osiedle Malinych partyzantów „Walka”. Osiedle Malinych partyzantów „Walka”. Osiedle Malinych partyzantów „Walka”.

Chłopcom z lasu i patriotom cywilnym poległym w walce za wolność naszej Ojczyzny mogiłę tu wzniesli okoliczni mieszkańcy w roku 1967.

Po dawnych gospodarzach Hali zostały tu i ówdzie dziczące jablonie i śliwy,

które wtedy obroniły się przed ogniem, zostały miedze tnące prostą linią zielone pola, widoczne jeszcze mimo bujności traw. Tuż pod Halą, od strony Sidziny, stoi samotna zagroda z ziemniaczanym polem obok, z drzewami owocowymi pod oknem — latem jest czego zadrzczyć mieszkańcom, zimą — niewielu miałooby odwagę i siłę bytować na takim odludziu.

Partyzantki zloty na Hali Malinowej zaczęły się właściwie w drugiej połowie lat sześćdziesiątych, z odsłonięciem pomnika, i ustalane były na październik — w wigilię spalenia osiedla. Odbywały się w miarę regularnie, czasem także w maju, czerwcu albo w lipcu. Atmosfera tych spotkań też była inna niż dziś, kiedy ze stu dziewięćdziesięciu pięciu żołnierzy kryjących się wtedy w babiogórskim lesie zostało ledwie pięćdziesięciu (w niemieckim pierścieniu znalazło się w październiku 1944 r. stu dwudziestu partyzantów) — może mocniej brzmiały głosy, świeższe były wspomnienia, głowy jeszcze nie siwe, płuca brały więcej powietrza na stromym podejściu. Może było huczniej i bardziej swojsko — dziś gubią się sylwetki „Chelmiaków” i „Harnasi” w tłumie kilkuset osób, które wychodzą na Halę Malinową dla kilku godzin patriotycznych wzruszeń czy z ciekawości, jak też teraz wyglądają chłopcy z lasu, ci, co kwatrowali tutaj, zachodzili do pobliskich osiedli, długo płacili Niemcom strachem, który nie pozwalał im zbliżyć się bardziej niż do granicy lasu, a potem boleśnie, z trudem odnajdywali się w ludowej ojczyźnie.

W październiku 1983 poświęcono wybudowaną dzięki partyzantom składkom kapliczkę pod wezwaniem Matki Boskiej Zwycięskiej — replika wizerunku kozielskiej madonny wyszła spod ręki samego „Boruty” — dowódcy oddziału „Chelm”, na łukowym zwieńczeniu wejścia do krypty wyrzyto napis: „Bóg — Honor — Ojczyzna”. Wewnątrz mają się znaleźć wyryte nazwiska i pseudonimy wszystkich, którzy podczas wojny walczali na tym terenie. Kapliczka była formą wdzięczności za pomoc, jakiej „leśni” doznali od tutejszych gospodarzy:

Tym, którzy żywią i bronią — rodzinom osiedla Malinowe: Bartyzelów, Basturów, Bednarczyków, Kaczmarczyków, Syców, Toków — w podzięce za udzielenie schronienia partyzantom AK w 1944 r. — można przeczytać na tablicy.

Teraz pod wzniesioną sześć lat temu kapliczką zebrało się kilkadziesiąt osób, żeby pomodlić się za ofiary wojennych okrucieństw i uczcić sierpniowe rocznice: wszak mają siedemdziesiąt pięć lat od wymarszu I Kompanii Kadrowej z krakowskich Oleandrów na bój o Niepodległość, sierpień był ostatnim miesiącem wolności odrodzonej Rzeczypospolitej, w sierpniu Warszawa spłynęła krwią. Już coraz mniej tych, którzy pamiętają, a coraz więcej przychodzi na Malinową tych, którzy poznają historię — dlatego ziemię z pół bitewnych i miejsc pamięci (także ziemię katyńską przywiezioną przez delegację ZNTK z Nowego Sącza) trzymali najmłodszy, chłopcy ze szkół, „skrzaty” przy starych żołnierzach. Z pobliskich osiedli i okolicznych wsi dotarli już nie wszyscy, którzy gościli „leśnych” w swoich domach — przyszyli raczej rodziny, drugie i trzecie pokolenie. Po raz pierwszy ze sztabem ZBOWiD zjawili się tu żołnierze I Pułku Strzelców Podhalańskich, choć nie wygasły jeszcze dyskusje wokół „kombatanckiej sprawiedliwości”. Aż z ziemi opolskiej przyjechała delegacja ze sztabem V Lwowskiej Dywizji AK — w oficerskich mundurach i rogaty-



Spotkanie po 45 latach — „Harnasie” i zaproszeni „Chelmiacy” w domu Zofii Brutankowej



Od lewej: (wstaje) Józef Flisiński-„Flis”, plk Harczak z KG BCh, Zofia Brutankowa, gen. Zygmunt Walter-Janke, major Tadeusz Mazurkiewicz-„Boruta”

Lucyna Kaszuba

Na skraju gminy

Z najwyższego wzniesienia w Przydonicy nie widać Jeziora Rożnowskiego. Górzysty teren pocięty na niewielkie półki, nie przyciąga turystów. Czasem zaglądają tutaj zwabieni pięknym szesnastowiecznego kościółka. Gospodarze nie wynajmują kwater letnikom. Żyją z ziemi, niektórzy — także z pracy w zakładach odległych o dwadzieścia pięć kilometrów Sącza.

Wioska licząca około tysiąca mieszkańców składa się z niewielkich gospodarstw. Rolnicy hodują bydło, uprawiają zboża, ziemniaki, rośliny pastewne i drzewa owocowe. Jeszcze kilka lat temu dobrze rozdyli śliwy. Coraz ich mniej po plagach szkodników i mroźnej zimie sprzed paru lat.

W centrum wsi — wiele nowych, piętrowych domów z tarasami. Między nimi — niskie, kolorowe domki o drewnianych werandach.

Na rozstaju dróg — stara kuźnia, jak z dawnej ryciny: pociemniałe od dymu belki, mroczne wnętrza, w którym jarzy się ogień na palenisku. Jan Rosiek na poczekaniu podkuje konia, naprawi wóz, sprzęt gospodarzy czy detal któregoś z rolniczych

maszyn. Kuźnia to jedyny w Przydonicy punkt usługowy.

Na brak usług we wsi i gminie narzekają napotkani rolnicy. — Gdy zepsuje się maszyna, trzeba ją wieźć aż do Podegrodzia — mówi Henryk Małek, który wraz z młodym sąsiadem naprawia wysłużoną, ponad dwudziestopięcioletnią snopowiązałkę. — W gminie nie ma nawet fryzjera ani punktu napraw radiowo-telewizyjnych. Z każdym głupstwem ludzie jeżdżą do Sącza. Najgorsze jednak jest kiepskie zaopatrzenie sklepu, który mieści się w starym budynku po szkole. Czekamy na budowę nowego sklepu i oddanie do użytku punktu skupu owoców. Możemy się pochwalić ładną szkołą, niezłymi dyskotekami (to ważne dla młodych) w miejscowej filii Gminnego Ośrodka Kultury, młodzieżową orkiestrą braci Sadłoniów, z którymi gra także Ryszard Osmęda. Jest u nas również twórcą ludowy — Marek Piszczek, rolnik prowadzący z ojcem gospodarstwo i zarzem utalentowany rzeźbiarz. Jego prace można oglądać w kościele.

O kłopotach mieszkańców Przydonicy mógłby wiele opowiedzieć Władysław

Małek, ojciec pana Henryka. Od ponad trzydziestu lat jest sołtysiem. Prowadzi przydomowy punkt skupu owoców. Brat sołtysa, Jan Małek, pracuje przy rozbudowie rodzinnego domu. Stoją już ściany z cegły.

Jan Małek pamięta dawną wieś. Nie było wówczas dużych, piętrowych domów, ani drogi pokrytej asfaltem. Dzieci uczyły się w drewnianej, ciasnej i zimnej szkółce, na piechotę chodziły do sąsiedniej wioski. Dziś wiele się zmieniło. — Nawet z kiepskiej ziemi można coś uzyskać. Większość gruntów to głównie pastwiska. Na stokach sadi się poziomki, truskawki i warzywa. Nie warto jak dawniej, uprawiać wszystkiego po trochu, bo to nie daje dochodów. Brat wyspecjalizował się w hodowli buhajów, Józef Galica — największy chyba gospodarz w okolicy ma zmechanizowaną fermę mleczną. Coraz chętniej rolnicy próbują ogrodnictwa. Np. Franciszek Bałuszynski postawił tunele foliowe i uprawia nowalijki. U nas w ogrodzie także jest tunel z folii — nie wiadomo, jak uda się papryka.

W pobliżu mieszka Stanisław Pekała, gospodarz na ponad dwóch hektarach ziemi. Obecnie hoduje siedem sztuk bydła, w tym trzy mleczne krowy. — Produkcja mleka jest teraz opłacalna. Zrozumiało to wielu rolników. Gdy dawniej wozak zabierał z Przydonicy kilka baniek mleka, w tym roku zwozi ich kilkadziesiąt. Niestety, mieszkańcy położonych wysoko „przysiółków”, do których trudno się dostać, nie mogą korzystać z jego usług

— trudno parę kilometrów dźwigać ciężkie bańki. Dlatego najważniejszą sprawą jest budowa dróg.

Ostatnio płacono za litr mleka sto pięćdziesiąt pięć złotych, a bywały okresy, gdy dostawałem sto dziewięćdziesiąt. W mleku moich krow jest przeciętnie 4,2 — 4,3 procent tłuszczu. Opłaca się dobrze karmić zwierzęta. Cieleta odstawiam w punkcie skupu w Bartkowej (ostatnio — dwa buhajki i cieliczka). Płacono za kilogram żywa cielęcgo 1390 złotych i po 1350 złotych za kilogram uotłowego i wieprzowego. Ruch w skupie nie jest duży. Rolnicy są zaskoczeni, iż pośrednicy — zakłady mięsne i handel — zbyt wiele na mięsie zarabiają. W sklepach ceny bowiem bardzo wysokie.

Gospodarstwo Stanisława Pekały jest pod opieką Nowosądeckiego Ośrodka Postępu Rolniczego, podobnie jak kilka jeszcze gospodarstw w Przydonicy. Rolnicy chwalą terenowego doradcę z Gródka, Stefana Wolaka. Stanisław Pekała prowadzi także przydomowy punkt sprzedaży nawozów (dość dobrze zaopatrzone); drugi punkt w Jelnej. W sądeckiej Rejonowej Spółdzielni Zaopatrzenia i Zbytu ma opinię pracownitego i solidnego.

Do niedawna mieszkał w starym domu. Nowy, piętrowy dom postawił w ciągu roku. Takich jak on rolników jest tu więcej. Niestety, coraz mniej młodych ludzi zostaje na skromnej ojczyźnie. Młodzię się kształci, potem szuka szczęścia w mieście.

wkach odmłodnieli nawet starzy wojacy. Zielono-czarny proporzec „Chelm” — dziewczętej kompanii dywersyjno-sabotażowej 12 pułku piechoty AK widziała już nieraz Hala Malinowa. Podczas przedmowy majora Tadeusza Mazurkiewicza — „Boruty” — podczas mszy polowej i apelu poległych — cały tłum trwał w skupieniu, choć dzieci i młodzieży szkolnej było w nim sporo, a przez południowe godziny dogrzewało słońce. I nie dziwnego, bo dla najmłodszych był to ważny moment w patriotycznej edukacji, a starsi nieczęsto mają okazję spotkać tyle ważnych osób, tyle obroty legendy postaci: zjawili się tu gen. Zygmunt Walter-Janke — dowódca AK na Okręg Śląski, autor wielu książek i wspomnień, przedwojenny podpułkownik dyplomowany, płk. Marczak — członek Komendy Głównej Batalionów Chłopskich w imieniu nieobecnego gen. Kamińskiego dekorował Krzyżem BCh Zofię Brutankową, u której kwatrowało „Harnasie”; major Mieczysław Wójcik ps. „Harnasi” — dziś pan w poważnym wieku, dołari na Hali w własnych siłach, wzruszył wszystkich słowami o stracie najbliższych, o ofiarach, których nie żał dla Polski; był i szef oddziału „Chelm” — Józef Flisiński ps. „Flis”, a major Tadeusz Mazurkiewicz — ongiś porucznik „Boruty” stanął po raz pierwszy kwatrował na Hali Malinowej w sierpniu 1944 r. — sieć to lat... Trud organizacyjny wzięli na siebie dwaj tutejszy parzyńscy: Adam Lesniak ps. „Puchacz” — były dyrektor szkoły w Sidzinie i Stanisław Kościelniak ps. „Sowa”, opiekujący się przez lato sidińska filia Skansenu tudzież urzędowa w niej Izba Pamięci. Żołnierzom AK towarzyszyli i „dziewczęta z tamtych lat”, m.in. Zofia Mazurkiewicz-Wardęga ps. „Borówka”, siostra „Boruty”, łączniczka i sanitariuszka „Chelmu”. Z partyzantów odwieczających Hali Malinową wymienić choć por. Bolesława Matule ps. „Rosomak” — dziś kapitana rezerwy, Leopolda Marchwińskiego ps. „Rydz”, który miał swój udział w wysadzeniu mostu w Skawcach, Zdzisława Papić ps. „Pikolo” z „Chelmu”, Antoniego Skorupskiego ps. „Podbiepita”, „Hektora” z „Harnasi” — Kazimierza Sandacza, Zbigniewa Wiesiołka ps. „Raczynski”, partyzantów zakopanijskich: Bolesława Dobrzyńskiego ps. „Malinowski”, Juliana Popielucha ps. „Chmura”, Jana Popielucha ps. „Koliber”. Goście złotu — posłowie ziemi podhalańskiej, obiecali mieć wciąż na uwadze w swoich poczynaniach suwerenność i całość Rzeczypospolitej.

To, co odbywa się na Hali Malinowej jest jakby uroczystością oficjalną, ale w przeddzień partyzanckiego złotu zwykli się spotykać chłopcy z lasu gdzieś na kwaterek w Sidzinie i okolicy, u swoich dawnych gospodarzy — tak po raz pierwszy od czterdziestu pięciu lat spotkali się znów „Harnasie” u Zofii Brutankowej i zaprosili też „Chelmiaków” na śpiewy, na wspominki. Po czterdziestu pięciu latach namwet młodnik w pobliżu kryjówek zmienił się w potężny las — to też kawał czasu wystarczający długi, by w historii popłataną jak leśne ścieżki doczekał się akowcy „kombatanckiej sprawiedliwości”, mogli artykułować racje i potrzeby swojego środowiska, kreślić swoją wizję Polski końca XX wieku.

ZDJĘCIA: JACEK PASZYŃSKI

Wiarus

Szkoła „tysiąclatka”, która od kilkunastu lat kieruje Stanisław Szarota wypuściła w świat wielu ambitnych młodych ludzi. Nie przerażały uczątlive podróże autobusem do Sącza i z powrotem (w sumie — pięćdziesiąt kilometrów). Barbara Szarota, nauczycielka wychowania plastycznego i opiekunka dzieci specjalnej troski z Przydonicy, Podola i Gródka z dumą wspomina w krakowskich uczelniach lub do średnich szkół w Sączu i Zakopanem. — I tak dla wszystkich nie wystarczyłoby ziemi. Mimo odpływu młodzieży, nie ma u nas opuszczonych i zamiedbanych gospodarstw. Dzieci są chętne do nauki, szczególnie lubią sport. To zasługa nauczycieli — Doroty Nogi i Zbigniewa Ziłkowskiego, a także LZS, którym w gminie kieruje nauczyciel z Jelnej, Marian Dębski. LZS zaopatrza nas w sprzęt sportowy. Mamy drużyny piłkarskie, sekcje tenisa stołowego, lekkoatletyczną i narciarską, liczącą ponad dwadzieścia osób. W szkole jest duża sala gimnastyczna, na zewnątrz — boiska i tzw. zielona sala z przyrządami do ćwiczeń, a nawet mały basenik. W ciągu roku szkolnego uczy się u nas dwadzieści pięćdziesiąt dzieci, a w budowanym w czynnie społecznym przedszkolu jest miejsce dla trzydziestu maluchów. Myślmy o powiększeniu stówki i zaplecza kuchennego, dalszej dobowości, dzięki której przybyłaby sala lekcyjna i mieszkanie dla nauczyciela.

Obecnie w szkole gości trzeci turnus dzieci z Katowic. Organizator kolonii, katowicki ZUS, jest dobrym partnerem. Za-

KRECIA ROBOTA

Nim do Nowego Targu, Zakopanego czy Rabki dotarła fala niemieckich urzędników, nim na dobre wojsko i służby specjalne, tj. żandarmeria, Grenzschutz czy wreszcie Geheimstaatspolizei usadowiły się w dogodnych siedzibach, na frontonach których rozparły się hitlerowskie „gapy” — dużo, dużo wcześniej rozpoczęła się penetracja terenu podhalańskiego pod kątem utworzenia oderwanej odrębności narodowej, wymyślanego „Goralenvolku”. Oczywiście koncepcja ta była jedynie marginesem działalności, która już na parę lat przed wybuchem wojny uprawiano i w tej części Polski, głównie na terenie Zakopanego; z racji dużej migracji czasosowej ludności. Kapitalnym płaszczykiem do działalności szpiegowskiej były kontakty sportowe, a tych przecież nie brakowało, zwłaszcza zimą.

Rezydentem niemieckich służb informacyjnych był dzierżawca luksusowego pensjonatu zakopanijskiego „Maraton” — Witalis Wiedler. Kapitan rezerwy WP, długoletni prezes Związku Oficerów Rezerwy, komendant hufca Przysposobienia Wojskowego — trudno wymarzyć sobie lepsze stanowisko do działalności wywiadowczej. Oddanyemu przyjacielowi Wiedlera był ówczesny zakopanijski prominent — pracownik Zarządu Miejskiego, działacz OZN, szef Uzdrowskiej — dr Henryk Szatkowski. Były wysoki urzędnik ministerialny, miał poważne poparcie sfer rządowych, powiązany z szeregiem wpływowych osobistości, na czym — oddajmy sprawiedliwość — Zakopane wygrało kilka istotnych spraw miejskich, m.in. przeprowadzenie budowy kolejki linowej na Kasprowy czy narciarskiego FID 1939 r. Dr Szatkowski był sportowym kapitanem narodowej reprezentacji kraju, często wyjeżdżał za granicę, m.in. do Austrii i Niemiec, co niewątpliwie ułatwilo oddziaływanie i penetrację przez wroga tujejszego środowiska przed realizacją separatystycznych zamiarów. Ledwie więc okrzepły niemieckie urzędy, ledwie wzięto robienie pieczęcie z wizerunkiem „Gappa mit Hakenkreuz”, zaś siedzibie starostwa nadano nazwę niemiecką — „Neumarkt an der Dunajec” — zdradziecki duet rozpoczął swą działalność.

Drenaż nastrojów i urabianie gruntu było znacznie ułatwione. Skalne Podhale ogłoszono terenem zamkniętym, głównie z powodu urzędów, trudnej do upilnowania przez Grenzschutzów, a wydeptywanej przez natychmiast zorganizowany ruch kurierski i przetrzutowy, dzięki urodzonym i wychowanym pod regłami góralom. Pogorszyło to i tak ciężką sytuację aprowizacyjną regionu, uzależnionego gospodarczo od reszty kraju. Podhale głoduje, a głód nie jest najlepszym doradcą.

Oddanie terenu niemal bez walki, zajęcie rodzinnej ziemi przez butne i doborowe oddziały Wehrmachtu, wspomagane przez zniestanawidzone wojsko kolaboracyjnej Słowacji, wieści o wrześniejszej klęsce — to wszystko wstrząsnęło moralnymi postawami ludu niezłomnego, hardego, niejaką opokę narodu „Silnych — Zwartych — Gotowych”. Zasiane zostało ziarno zwątpienia i słabości; reszty dopełniła postawa ludzi dobrze nieraz znanych, uważanych za jednostki prawe i niezłomne, z tytułu wiedzy i roli na danym terenie

dbał o wymianę poszycia dachu i odnowienie wnętrza.

Najsmutniejsze wrażenie sprawia odprany budynek w centrum wsi, z walącym się gankiem. Tutaj jest biblioteka. Z wypłowiłej kartki trudno odczytać, w jakich godzinach wypożycza się książki. W wyremontowanej części obskurnego baraka — skłopeni niewiele. W kontenerach „Piwniczanka”, na półkach — orzechy, soki, kompoty i dżemy. Jest smalec, margaryna i masło. Świeży chleb (po trzysta złotych za bochenek) przywieziono przed chwilą. Nie ma cukru, mąki i kaszy (oprócz mączki kukurydzianej i kaszy manny). Najwięcej słodczy. Dobre zaopatrzenie w proszki do prania, jest także mydło po trzysta pięćdziesiąt złotych (tańsze niż w pobliskim kiosku „Ruch”), gdzie można kupić tylko mydła hiszpańskie po pięćset złotych). Lada chłodnicza zepsuta, więc kiełbasa po cztery tysiące czterysta złotych leży w lodówce na zapleczu. Zachęcani do kupna klienci, nie dają się namówić.

Trudno teraz o ciągłą sprzedaż podstawowych artykułów — twierdzi sprzedawczyni. — Dwa razy w miesiącu otrzymujemy po 200-250 kilogramów cukru, który szybko znika. Mąki dotychczas nie brakowało, ostatnio jednak trzeba było ograniczyć sprzedaż do pięciu kilogramów na osobę. Czekamy na nową dostawę. Zależy nam na dobrym zaopatrzeniu — jesteśmy z meżem na ryczałcie i gdy nie ma czym handlować — tracimy finansowo. Pracujemy w trudnych warunkach — nie ma bieżącej wody, dźwigamy więc wiadra od sąsiada i grzejmy grzał-

JACEK SOWA

GORALEN'VOLK

(2)

uznawanych za autorytety. Takich jak Wiedler i Szatkowski.

Początki były delikatne, niemal subtelne. Wykorzystując polityczną dezorientację tradycyjnie przecież niezbyt światłego ludu podhalańskiego, zbyt zaobserwowanego twarzą walką o byt na pograniczu ubóstwa i dobiekającego przednówka, Witalis Wiedler szerzył poglądy o utworzeniu kadubowego państwa polskiego w oparciu o III Rzeszę, mówi o współpracy z okupantem (oczywiście gospodarcej, co najwyżej społecznej). Wszakże Związek Górali sprzed wojny wypracował sobie własne metody, a przecież pod opieką potężnego protektora, który niebawem zatrzęsie Europą, a może i światem, lepiej będzie góralom przeżyć te trudne czasy.

Ta wybredna pagodana miała przeróżne wersje. Głównym rzecznikiem i teoretykiem góralskiej odrębności był dr Szatkowski. Chodziło tu o górali zamieszkałych terenach tzw. rdzennego Skalneego Podhala, a więc rejon wokół Nowego Targu i Zakopanego. Aby zrozumieć sens tej lokalnej preferencji, należałoby zgłębić to w od dawna pokutujące niesnaski i właśnie regionalne; traktowanie z góry przez „prowdziwych górali” w ciasno oplotych rzemieniami portkach w okolicy kostki — pozostających, a więc górali beskidzkich tych od Żywca i Bielska, pienińskich, żeby nie wspomnieć o zakorzenionej wręcz niechęci do „Orawików” czy „Spisoków”, na sądeckich „Lachach” skończywszy.

Krzyżowało się zatem o owej odrębności, szukając historycznych i etnicznych predestynacji, szepotało zaś o pragermańskim pochodzeniu górali, o symbolicznej zbieżności starogóralskiego symbolu ognia z hitlerowską swastyką. Użyto wreszcie najmocniejszych argumentów — religijnych. Lud góralski od wieków był niezwykle przywiązany do kultu religijnego, toteż słabe pogłoski o zbezczeszczeniu wielu świątyni zostały przez inspiratorów separatystycznego ruchu skrzętnie wykorzystane do celów propagandowych. Już na początku października 1939 roku Wiedler organizuje wycieczkę góralek i górali do Czeszochowy, aby naoznaczone przekonanie delegację ludu, że świątynia ich opiekunka — Matki Bożej jest nieknięta, ba, przez okupanta wręcz poszanowana należyce. Rzecz jasna, fotografie modlących się na Jasnej Górze górali w regionalnych strojach obiegły gazety, stanowiąc atut w działalności Wiedera i Szatkowskiego.

Zaskakujące jeszcze przed wybuchem wojny postawy niektórych obywateli, zamieszkałych zwłaszcza Zakopane, już wówczas budziły co najmniej zdziwienie, także za sprawą pronieemieckich sympatii. Wkrótce wszystko się wyjaśniło. Rychło po zakończeniu kampanii wrześniowej ujawnili się agenci niemieccy. Wielu z nich wpisało się na listę volksdeutscher i reichsdeutscher i rozpoczęło jawną działalność dywersyjną wśród górali. Zwerbowało do służby wywiadowczej szereg osób, głównie spośród świata przestępczego,

karierowiczów, którzy za pieniądze, wódkę czy kiełbasę nie zawahali się zdradzić Ojczyzny. Niemcy ujawnili też niebawem swój plan rozbicia jednolitego narodu polskiego i oderwania ości ludu góralskiego.

Generałny Gubernator Hans Frank zapisał na ten temat w swym „Dzienniku”. — Nie powinniśmy zapominać, że mamy tu 14 milionów mieszkańców, z czego 2,5 mln Żydów, około 600 tysięcy Ukraińców, Górali, Lemków i Huculów. Lachach górskich Beskidów nazywam „Lachuchem góralskim”. Książę górali — to brzmi tak pięknie. W wywiadzie z dziennikarzem Kleisssem (w dniu 6 lutego 1940 roku) Gubernator Frank powiedział, że Górale są niewątpliwie germańskimi pochodzenia, choć w innym miejscu stwierdził, że lud góralski ma właściwie charakter ukraiński, odczuwa jednak potrzebę uwzględnienia go za szczerą odrębny i temu zyczeniu będzie się czyniło zadość, o ile tylko będzie to możliwe.

Wizyta Reichsführera — Himmlera na Podhalu w styczniu 1940 roku nasiliła niemieckie działania w kierunku separacji ludności góralskiej. Dla lepszych efektów zwolniono z niewoli około 200 jeńców z góralskim rodowodem, którzy w zamian za wolność i dodatkowe przydziały żywności mieli zasiłki orszak powitalny. Podczas wizyty omówiono z Himmlerem sprawy związane z ruchem separatystycznym; zaakceptował w poczynania, zaliczając górali do ludności nadającej się do zniemczenia. Ich pragermańskie pochodzenie lub co najmniej mieszane było dla Reichsführera niewątpliwie. Tu należy też szukać motywacji przeprowadzonych już na początku okupacji badań we wsi Szafary oraz zamierzeń w stosunku do młodzieży szkolnej o cechach aryjskich.

W memoriale Himmlera z 15 maja 1940 r. zawarty zostało „Kilka myśli o traktowaniu obcoziemców w na Wschodzie”. ... przy traktowaniu obcoziemców musimy starać się używać ich i podtrzymywać jak najwięcej odrębnych narodowości (...). Różnic ich na niezliczone male odłamy i części. (...) Musi być także możliwe w okresie nieco dłuższym spowodowanie zniknięcia na tym obszarze narodowych pójec Ukraińców, Górali...

I tu chyba zasada się sedno poczynił hitlerowskich zaborów. Trudno byłoby uwierzyć w przystanie na wspólny rodowód genealogiczny „rasy panów” wraz z Lemkami, Huculami czy nawet Ukrainkami lub Góralami, toteż tego rodzaju działania były konsekwencją założonej polityki osłabiania jednolitej narodowej, poprzez uprzywilejowanie poszczególnych grup etnicznych. I tak w długofalowym procesie wynaradawiania zniknąć miało pojęcie Górala czy w ogóle Polaka. O ile gry tej nie przeżyłoby wielu mieszkańców południowych regionów kraju, o tyle sami inspiratorzy zamierzonej akcji pod tytułem „Goralenvolk” nie mieli żadnych wątpliwości co do jej prawdziwego sensu.

(ciąg dalszy nastąpi)

ka do herbaty. Marzymy o nowym sklepie, w przyzwoitym pomieszczeniu. Na zapleczu mało miejsca. Marwi leżąca w lodówce kiełbasa. Dawniej w ciągu tygodnia sprzedawano tutaj sto kilogramów wędlin, teraz trudno się pozbyć dziesięciu kilogramów żuławskiej.

Niedługo zostaną ukończone prace przy budowie punktu skupu owoców. Słudny budynek przedłużony wiatą jest niemal gotowy. Prace prowadzi od zimy kilkuosobowa brygada sądeckiego „Budimatu”, z majstrem, Stefanem Jarzmiem. Jeszcze tylko kiosk z wagą, ogrodzenie oraz wykładany betonowymi płytami plac i będą tutaj skupowane owoce dla Sądeckich Zakładów Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego.

Wies — pracowita, słudna, krok po kroku pokonująca przeszłość. Położona poza turystycznym centrum gminy nie liczy na szczególne przywileje. Złota, jak twierdzi rolnicy — gmina nie jest bogata, a Urządowi nie wystarczy pieniędzy nawet na wsparcie wszystkich czynów społecznych, zwłaszcza przy budowie dróg.

O przyszłości sklepu w Przydonicy pytam kierownika działu techniczno-administracyjnego Rejonowej Spółdzielni Zaopatrzenia i Zbytu w Nowym Sączu, Mariana Palacza: — Budowa nowego parowozu jest zaplanowana. Gdyby nie kłopoty z uzyskaniem działki, jeszcze w tym roku rozpoczęlibyśmy prace. Jest nadzieja, że budowa ruszy w przyszłym roku. Zastępczyni kierownika działu handlu w Spółdzielni, Małgorzata Pieniążek obiecuje pomóc placówce w najpilniejszych potrzebach.



Fot. JANUSZ BARAN

Jerzy Masior

Boś ty fiołkowa

Nadleciały anioły
znad pola
od stodoły
w fiołkowe sukieneczki
otulone panienczki
i usiadły u twych drzwi
...a sad śpi
...a sad śpi
nie pukały
nie stukwały
budzić ze snu
cię nie chciały
i na chłodzie
i po lodzie
skrzydełkami trzepotały
bo paluszki
bo serduszka
ogrzać trochę chciały.
Różowitkie noski
w skrzydełka wtuliły
w zieloniutkich butkach
nóżki podkuły
i tak drżały
oszroniały
aż w porannym słońcu
serca roztopiły.

Fiołkowe panny
wiosenne motyle
były tutaj
na twym progu
przez calutką chwilę.
Chcesz szukać ich śladów
ze snu przebudzona —
och, nie trzeba
boś ty sama
różowo-zielona.

Boś ty fiołkowa
i wieczorem rdząca
gdy się bardzo
bardzo boisz
moich ust pragnących
boś ty taka lotna
nie moja
nie swoja
czemu serce chowasz
panno fiołkowa
zieloność stokrotna.

Zakopiański festiwal

Od 2 do 10 września w Zakopanem trwać będą imprezy XXVIII Jesieni Tatrzańskiej i XXI Międzynarodowego Festiwalu Folkloru Ziem Górskich.

Zaplanowano: 2 września — konkursy na doródkarza roku i śpiewu pytackiego (plac Zwycięstwa, godzina 11), przejazd ulicami miasta wesela góralskiego (godzina 15), Widowisko Regionalne na stadionie pod Skocznią (godzina 16) oraz Pojasi z udziałem pisarzy i poetów podhalańskich, w czasie których rozstrzygnięty zostanie Konkurs imienia Tadeusza Staicha na wiersz o tematyce górskiej (kawiarnia Domu Turysty, ulica Zaruskiego 5, godzina 18).

3 września: otwarcie Festiwalu — przemarsz zespołów regionalnych przez miasto (godzina 10), prezentacja uczestników Festiwalu na stadionie pod Skocznią (godzina 12) oraz konkurs przy wierzbie na śpiew pastercki (Polana Kuźnicka), godzina 18).

5 września: konkurs dla dzieci i młodzieży na plakat „Festiwal — 90” (Klub MPIK, ulica Zborowskiego 2, godzina 11).

6 września: spotkanie jurorów Festiwalu z publicznością w kawiarni Domu Turysty (godzina 10).

8 i 9 września: Przegląd Zespołów Instrumentalnych, Solistów, Instrumentalistów i Wokalistów w namiocie widowiskowym (godzina 10).

Od 4 do 7 września — koncerty festiwalowe; dwa zespoły występują o godzinie 17, trzy — o godzinie 20 (jeden poza konkursem). Zaprezentują się:

4 września: „Koniaków” i „Ege Folk” z Turcji oraz — „Pogórzanie”, „Galloway Dancers” ze Szkocji i „Gvanim” z Izraela.

5 września: „Kasinianie” i „Concordia” z Sycylii oraz — „La Dolphinale” z Francji, bułgarski zespół z Tzerova i „Hamernik”.

6 września: „Brozane” z Czechosłowacji i „Federico Lozano” z Hiszpanii oraz — serbski „Polet” z Jugosławii, zespoły radzieckie i brazylijskie.

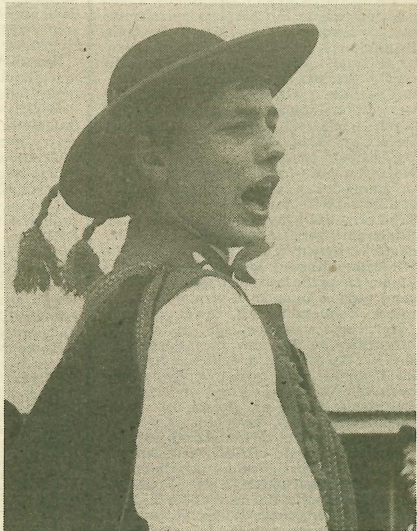
7 września: „Lachy” i rumuński zespół z Feregi oraz — zespoły z Ioanniny (Grecja), z Hosszuhédeny (Węgry) i Zespół imienia Bartusia Obrochty.

10 września: Koncerty — Laureatów (godzina 12) i Finałowy (godzina 17).

Organizatorzy zapraszają na imprezy towarzyszące Jesieni Tatrzańskiej. Już w dniach 26 i 27 sierpnia (godzina 16, stadion pod Skocznią) można oglądać widowiska regionalne. Przez cały wrzesień będą czynne pracownie artystów i wystawy. Galeria BWA prezentuje dorobek Zakopiańskich Warsztatów Wzorcowych, Galeria Pracowni Sztuk Plastycznych — rzeźbę

i malarstwo Paulina Wojtyny, Muzeum Tatrzańskie — Galeria na Koziołcu — „Twarze” Stanisława Ignacego Witkiewicza, Klub „Turnia” (ulica Kościuszki 9) — stroje góralskie z archiwum Zakopiańskich Warsztatów Wzorcowych, Klub MPIK — rysunki Ingrid Schaar z RFN, „Impresje festiwalowe”. Ponadto — na wystawy zapraszają szkoły: Technikum Tkactwa Artystycznego imienia Heleny Modrzewskiej (ulica Karpusie 35), Liceum Sztuk Plastycznych imienia Antoniego Kenara (ulica Kościeliska 35) i Zespół Szkół Budowlanych (ulica Krupówki 13), w Białym Dunajcu (przy ulicy Mikosników Podhala 26) będzie można oglądać plenerową wystawę malarstwa i rzeźby.

Stowarzyszenie Twórców Ludowych i „Cepelia” zorganizują kiermasz (deptak przy ulicy Krupówki) 7 września zespoły uczestniczące w Festiwalu wezmą udział w Jarmarku Podhalańskim w Nowym Targu. Blizsze szczegóły o imprezach — w afiszach.



Fot. MICHAŁ SROKA

„Witowianie” w Anglii

wej. Oglądali wspaniałe budowle Walii, katedrę w Liverpoolu, przepiękne ogrody zoologiczne. Odwiedzili młodzieżowy ośrodek czasowy Polonii krajów zachodnich — w Belgii.

Inicjatorką artystycznej podróży „Witowian” była pani Aniela Michniak — założycielka i wieloletnia kierowniczka zespołu. Jej prywatne kontakty z polskimi rodzinami w Anglii sprawiły, że doszło do wyjazdu młodych góralskich artystów spod Tatr. W Sheffield mieszka i sprawuje misję proboszcza ks. Stanisław Tyłka — rodem z Witowa. To właśnie on — za namową matki mieszkającej na Podhalu — zaprosił i wspaniale zorganizował pobyt witowian w kraju ponad 40 hrabstw.

Młodzi wrócili do Polski pełni wrażeń i wiedzy o kolejnym europejskim kraju, bogatsi duchowo i artystycznie. Otrzymują wiele listowych i telefonicznych podziękowań. Są także pierwsze rewizyty. Ostatnio zespół uprzejmie przyjął 12-osobową grupę Polonusów z Sheffield na Siewję Polanie w Tatrach. Napływają już zaproszenia do „Witowian”, by odwiedzili Anglię podczas następných wakacji.

MAGDA HALINA KRÓL

Andrzej Jazowski

Wokół współczesnej poezji podhalańskiej

O literaturze współczesnej pisać niełatwo. Rzadko badacze osmielają się na syntetyczne ujęcie współczesnych, jeszcze płynnych, zjawisk literackich. Należy więc podziwiać Annę Brzozowską-Krajka, że podjęła się monograficznego opracowania najnowszej poezji podhalańskiej — tym bardziej że wymagało to dodatkowych studiów, mianowicie dotarcia do korzeni regionalizmu podhalańskiego, bez którego nie sposób zrozumieć i ocenić dorobku literackiego poetów Podtatrza.

Wstępny rozdział, zatytułowany „Folklorystyczno-literacki rodowód współczesnej ludowej poezji podhalańskiej”, daje genezę podhalańszemu; Autorka stara się występujących na Podhalu pisarzy ułożyć w grupy pokoleniowe, dzieląc każdą na pisarzy inteligentów i pisarzy chłopskich (ludowych). Do grupy pierwszej (koniec wieku XIX do 1918) zalicza: Andrzeja Stopkę, Wojciecha Brzęgę, Feliksa Gwiżdza, Andrzeja Galicę, Józefa Jędlicza i Zygmunta Lubertowicza; do drugiej (lata 1918 — 1939) literatów-górali: Antoniego Zachemskiego, Augustyna Suskiego, Jana Mazura oraz poetów

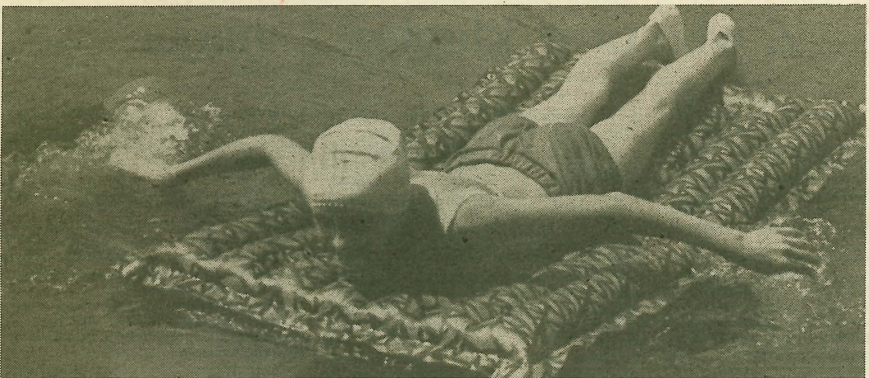
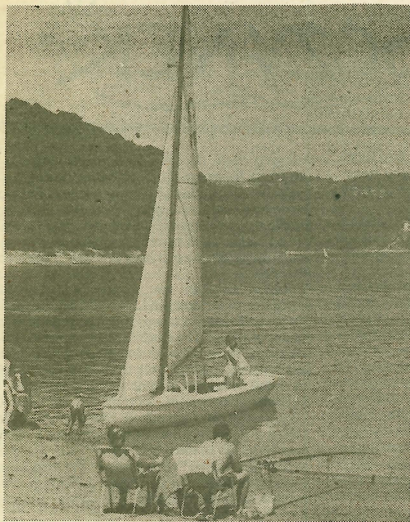
ludowych: Aniełę Gut-Stapińską, Stanisława Nędrę-Kubińca, Hankę Nowobielską, Andrzeja Skupnia-Florka; do trzeciej — pokolenie powojenne (inteligentów góralskiego pochodzenia): Franciszka Bachledę-Księżdziorza, Andrzeja Gąsienicę-Makowskiego, i poetów ludowych: Adama Pacha, Stanisława Gąsienicę-Byrcynę, Helenę Walińską, Wandę Czubernatową, Józefę Para-Hejkę, Franciszka Łojas-Kośle, Zofię Grace, Franciszka Hodorowicza i Jana Bachledę-Zarskiego.

Niestety, nie jest ten podział ani pełny, ani konsekwentny. Nie chodzi mi o to, że Autorka nie zwróciła uwagi na metamorfozę ideowo-artystyczną, jakie np. przechodziło młodopolskie pokolenie pisarzy podhalańskich (przy szkieletowym charakterze rozdziału tego rodzaju uwaga byłaby bezpodstawną); wydaje mi się jednak, iż za słabo podkreślono rolę i znaczenie Kazimierza Tetmajera i Władysława Orkana w tworzeniu zrębów podhalańszemu i literatury podhalańskiej, należało też, skoro autorka dzieli grupę pokoleniową na podgrupy, umieścić w pierwszej grupie literatów (inteligentów) również Tetmajera i Orkana. Nie jestem też

przekonany czy Brzozowska-Krajka pisze wyłącznie o poezji Skalnejo Podhala (omawia przede wszystkim poetów Podtatrza), czy też całego Podhala? A jeżeli Podhala, to czemu zabrakło np. nazwiska Jana Fudali (skoro dość obszernie analizuje twórczość Wandy Czubernatowej) albo choćby wzmianki o Michale Stowiku-Dzwonie?

Tak więc stare i nowe nuty na góralskich gęślikach nie są wolne od błędów, z jakimi często spotykamy się przy tego typu opracowaniach. Zapewne wynikają one częściowo ze szkieletowego charakteru rozdziału, ale są też świadectwem, jak trudno jest pisać o współczesnych, płynnych zjawiskach literackich, jak kłopotliwa bywa próba klasyfikacji tych zjawisk.

Folklor i kultura ludowa ulegają szybko unifikacji z kulturą narodową nie tylko w Polsce. Dzieje się tak pod wpływem rozwoju oświaty i środków masowego przekazu. Proces ten na Podhalu przebiega nieco łagodnie, dzięki silnemu zakorzenieniu się tu ruchu regionalnego, który utrwalił w góralach poczucie własnej wartości i dumy z rodzimych spuścizny duchowej. Anna Brzozowska-Krajka stwierdza, że podhalańszemu zdominował twórczość pisarzy prowincjonalnej góralskiej, stał się wprost programem-apelem. Występuje on z niestanną siłą nawet u poetów najmłodszego pokolenia, przy czym artykułowany jest tak w treści, jak i w formie utworów (gwara, meliczna budowa wiersza). Pięlegowanie i utrwalanie spuścizny kulturowej, będącej w podhalańskich aksjologii skarbem największym, pozostaje w centrum zainteresowania współczesnej literatury ludowej regionu. Poeci podhalańscy apoteozują przeszłość zamierzając i nową (powstanie chocholo-



Fot. JERZY CEBULĄ i MIECZYŚLAW STASZEWSKI

Wakacje

Świat bez upiększeń

Andrzej Szarek — nowosądeckanin, wychowanek zakopiańskiej Szkoły Kenara i absolwent Wydziału Rzeźby warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych — wystawia od 1985 roku. Jego tworzywem jest metal, z którego odlewa ludzkie postacie, detale większych kompozycji i płaskorzeźby. Z kawałków blachy i przedmiotów codziennego użytku buduje oryginalne konstrukcje.

Uczeń Jana Kucza, stypendysta Ministerstwa Kultury i Sztuki jest współzałożycielem grupy młodych artystów „Kim Jesteś” (ogładaliśmy ich prace w Galeriach BWA Zakopanego i Gorlic). Bezlitosny w obnażaniu fałszów i burzeniu mitów, ukazuje człowieka i świat bez upiększeń, z pewną dozą ironii. Jego dzieła to niekiedy gorzki komentarz do rzeczywistości, czasem — alegoryczna opowieść o współczesności i jej zagrożeniach. Warto przyjrzeć się figurkom zagubionych ludzi, apokaliptycznemu jeźdźcowi czy budowniczym wieży Babel z kompozycji Szarka: do 10 września w sądeckiej Galerii BWA czynna jest wystawa jego prac. To trzecia indywidualna ekspozycja artysty (siemdemnasta, w której uczestniczył).

Trzeba dodać, iż młody, trzydziestoletni rzeź-

biarz jest także pedagogiem II Liceum Ogólnokształcącego. Swoją troskę o przyszłość i odwagę mówienia o ważnych sprawach przekazuje młodzieży — mogliśmy się o tym przekonać oglądając niedawno w Galerii Młodzieżowego Domu Kultury prace uczniów i organizowane przez niego happeningi w obronie naturalnego środowiska.

L.K.



wskie. Specyficznie pojmovaną ślebotę i dumę z historycznych dokonań przodków przenoszą również na zbójnictwo, które prezentują zgodnie z obiegową tradycją folklorystyczną przejawiającą się w pieśniach i opowiadaniach ludowych, mitologizują potęgę ruchu i jego społeczne znaczenie; zbójnicy („dobrzy chłopcy”) jawią się groźni tylko dla bogatych i złych, uosabiają sprawiedliwość ludową, równając świat, zabierają panom, a dają biednym i skrzywdzonym; opływają przy tym w bogactwie, a ich „orle” życie zwykle kończy heroiczna i tragiczna śmierć. Przy tym akcentowane są takie cnoty, jak mocarność, uroda, męstwo, odwaga, wierność, honor zbójnicki i solidarność z towarzyszącymi.

Tą swoistą mistyfikacją i heroizacją przeszłości — na drodze analogii — objęte zostały także zasłużone postacie z czasów nam bliższych. Do Tetmajera pisze hymn pochwalny Czubernatowa, Tetmajerowi też składa hold, za społeczne i literackie zasługi dla Podhala, Andrzej Skupień-Florek i Stanisław Nęcza-Kubiniec. Również wielkim uznaniem darzony jest drugi podhalański wieszcz, Władysław Orkan — wiersze poświęcił mu: Gasienica-Makowski, Hodorowicz, Pach, Para-Hejka. Są utwory dedykowane Sabale, który jeszcze za życia stał się legendą, Augustynowi Suskiemu, Stanisławowi Nęczy-Kubinowi, Andrzejowi Skupniowi-Florekowi i wielu innym wybitnym ludziom Podhala.

Anna Brzozowska-Krajka zastanawia się także nad postawą góralskich poetów wobec przyrody Tatr. Opiera się ona jeszcze na tradycyjnym światopoglądzie, chociaż styl życia współczesnych mieszkańców Podha-

ła daleko odbiega od modelu sprzed II wojny światowej, a więź górali z Tatrami pozbawiona została dawnych elementów gospodarczych (pasterstwo, myślistwo) i kulturowych.

Niekorzystnie przedstawia się ponadregionalny wymiar współczesnej ludowej poezji podhalańskiej. Twórczość ta — zdominowana przez podhalańskim — jest służebna wobec zachowania kulturowej specyfiki regionu, co ujawnia się przede wszystkim w utworach o charakterze apetytywnym, w założeniach artystycznych i w stosunku do tradycyjnych i współczesnych wzorców literackich; problematyka zaś ogólnoludzka, jak też poszukiwania nowych form wyrazu artystycznego, schodzą jakby na plan dalszy. Tężeństwo często — choć nie powszechnie — przez góralskich poetów przedstawiana jest w perspektywie ironiczno-satyrycznej. Jest wszakże w literaturze podhalańskiej kilku twórców, zwłaszcza starszej generacji, którzy problematyce ogólnoludzkiej poświęcali sporo uwagi; młodsze zjawiska są zaś zbyt świeże, nie skrytalizowane, podlegające ewolucji i zmianom (będą zatem wymagały dodatkowych badań).

W sumie książka Anny Brzozowskiej-Krajki stanowi wartościową i bardzo pożyteczną pracę (jest to zmodernizowana wersja pracy doktorskiej), zawiera przypisy, bibliografię i indeks nazwisk. Niewątpliwie zainteresuje miłośników literatury podhalańskiej i jej badaczy.

ANDRZEJ JAZOWSKI

Anna Brzozowska-Krajka, *Stare i nowe nuty na góralskich gęstikach*, Warszawa (LSW) 1989, cena 600 zł.

JAN POPRAWA

GWIĄZDOZBIÓR

Szwed

Ostatnie felietony w „Gwiazdozbiorze” — jak zapewne zauważyli łaskawi Czytelnicy tego cyklu — związane są ściśle z wakacyjnymi festiwalami artystycznymi w Polsce. Lato jest zazwyczaj kulminacją sezonu. Ja zaś zawodowo niejako jeżdżę na najrozmaitsze piosenkarskie spedy. I zauważyłem w nich często postacie zasługujące na bacznieszę uwagę. Tak było podczas tegorocznej „Famy”, gdzie zdecydowanie wyróżnił się Tadeusz Krok, tak było w czasie Zamkowych Spotkań „Spiewający Poezję”, w których brylował Stefan Brzozowski.

U schyłku lipca uczestniczyłem w jeszcze jednym wielkim festiwalu. Odbył się on (odbywa od kilku lat corocznie) w Mrągowie. Oczywiście chodzi o „Country Piknik”. Imprezę osobliwą, zlokalizowaną w najładniejszym bodaj z polskich amfiteatrów i poświęconą tematycznie jednej tylko artystycznej dyscyplinie — mianowicie muzyce country.

Czym jest country — Czytelnicy „Dunajca” dobrze wiedzą. Choćby z poprzednich felietonów „Gwiazdozbioru”, w których prezentowałem m.in. jedną z krajowych gwiazd gatunku, mianowicie „Lonstara” Łuszczyńskiego. Tym razem nie będę więc wyjaśniał ab ovo, jeno zastanowię się nad szczególnymi cechami *country po polsku*. Wszystko zaś na przykładzie jednego z najpopularniejszych przedstawicieli tej dyscypliny — Tomasza Szweda.

Tomek jest artystą dojrzałym, obdarzonym świetnymi warunkami, mającym spory dorobek. Jest też artystą nietuzinkowym, ambitnym. Wszystkie te walory stawiają go bezsprzecznie w czołówce polskiej estrady. Jednakże w osiągnięciu popularności na miarę talentu i umiejętności przeszkadza mu, jak sądzę, zbyt utnżamienie się ze środowiskiem muzyki country własnie.

Popelniam tu oczywiście hereżę — przynajmniej z punktu widzenia wielbiciela tego gatunku artystycznego. W owym spostrzeżeniu kryje się bowiem niezbyt wielka wiara w nośność country jako odrębnego gatunku piosenki.

Tegoroczny festiwal w Mrągowie, którego Tomek Szwed był niewątpliwą gwiazdą, dowiódł właśnie niemożności artystycznej polskiego country. Poza Tomkiem bodaj tylko krakowska grupa „Dystans” prezentowała w nim była poziom w pełni profesjonalny. Inni czciele gatunku ograniczali się do amatorskiego wydobycia dźwięków, ewentualnie niezbyt udolnego imitowania amerykańskich mistrzów.

Oczywiście można powiedzieć, że to wszystko nie jest sprawą niedostatecznej „nośności” gatunku — lecz jedynie niewystarczających kwalifikacji polskich jego wyznawców. Ale nie bez racji też pewnie będzie stwierdzenie, że zarówno Szwed, jak i „Dystans” w istocie daleko wychodzą poza gatunkowy kanon. Poza to, co polskiej przynajmniej publiczności kojarzy się z muzyką country nierozłącznie: mianowicie łatwym rytmem oraz melodyjną melodią (w dodatku wesołą, durtową). A także bezproblemową historyjką opowiadaną w niewyszukanych rymach...

Tomasz Szwed debiutował w klubach studenckich i na Studenckim Festiwalu Piosenki w Krakowie (ileż to już razy wymienialiśmy SFP jako źródło kariery!). Tam też zapewne „zaraził” się ambicjami, charakterystycznymi przecie dla *piosenki studenckiej*. Na przykład ambicją przedstawiania jakiejś prawdy oraz sprawy, wyłamywania się ze skostniałych skojarzeń.

Kiedy Szwed zdobywał popularność — wielu raziła jego maniera wykonawcza. Ma głos ostry, nieco gardłowy, niezdolny jakby do interpretacyjnej wszechstronności. Kluczową sprawą stało się wówczas skojarzenie z amerykańskimi mistrzami gatunku country właśnie. Wylon Jennings czy zgola sam Bob Dylan — także nie mają w głosie miodu i słodyczy. A przecież stworzyli niepowtarzalne kreacje. Tomek przez pewien czas stylizował się więc na owych mistrzów z Nashville. Wrzaz z kilkoma innymi (m.in. wspomnianym „Lonstarem”) — przecierał szlak dla muzyki country, dla znajomości tego gatunku nad Wisłą i Odrą.

Artystycznie jednak „zaczął się” Szwed dopiero od chwili nawiązania współpracy z Andrzejem Garczarkiem. Niedocenionym i bardzo wybitnym artystą pióra, jednocześnie także śpiewającym poetą. Sztuka Garczarka wykreaowała w istocie postać sceniczną Szweda. Teksty Andrzeja nawiązują do pięknej tradycji *świata przedstawieniowego* (skodyfikowanej kiedyś przez Zagajewskiego i Kornhausera, czołowych przedstawicieli *nowej fali*) — ale też były obślwią stylizacją języka potocznego, plebejskiego. Języka pokolenia dziesiętnych czterdziestolatków. Coś, jakby zmieszać potykę Redlńskiego i Białoszewskiego, sytuując ją jednocześnie w naszych czasach...

Wiersze Garczarka „zapodniły” Tomka Szweda do pisania własnych piosenek. Od pewnego czasu mają ich w repertuarze coraz więcej. I to wcale udanych! To świadczą o wszechstronnym talencie tego artysty. Wszelako jest przede wszystkim Tomek wykonawcą. Jest jedną z tych niewielu postaci polskiej estrady, o których powiedzieć można, iż mają estradową charyzmę. Jest przystojny — co już pisałem, ale uroda zmęczonego mężczyzny, nie żyłakala (podoba się więc nie tylko kobietom). Ponadto jest biegłym muzykiem. Gra nie tylko prostą (niekiedy zbyt prostą) by potrzebą do niej był prawdziwego mistrzostwa) muzykę country. Jego piosenki często przekraczają granice tego gatunku: jest w nich element rocka i szczypta bluesa, jest swing, słodycz i czad...

Jest więc Szwed artystą znaczącym. I wciąż się rozwija. Obserwujemy go!

W dole ul. Kościuski w Nowym Sączu, za torami kolejowymi z dala widać odnowioną elewację hali sportowej. Gdy jednak spojrzymy na otoczenie hali, prezentujemy nam się widok mniej optymistyczny. Murawa jedynej w klubie boiska do piłki nożnej zarosnięta, na trybunach trawa i chwasty. Za halą asfaltowe boisko do piłki ręcznej, na bramkach strzepy siatek. Przy nim odrapane ściany hangaru na kajaki. Kilka kajaków, niczym nieprzydatne wraki, leży pod ścianą. Nieco dalej, pod ogrodzeniem, bez ładu i składu ciśnięto jeszcze kilka kajaków, na których czas i woda wywarły swe piętno. Tylko z okna na parterze, z sekretariatu klubu, mieszczącego się obok biur Wojewódzkiej Federacji Sportu, dobiega dźwięczny śpiew kanarków...

Tak wygląda dziś baza jednego z najbardziej zasłużonych klubów nowosądeckich: **Wojskowo-Cywilnego Klubu Sportowego „Dunajec”**. Klubu, którego reprezentanci tylko w latach 1984—87 wycieczili 24 medale w mistrzostwach Polski (w tym 5 złotych). Klubu, który w gronie 36 sklasyfikowanych przez Wojewódzką Federację Sportu zajął wysokie, 6. miejsce.

Początki dzisiejszego „Dunajca” sięgają 21 marca 1945 r. Wówczas to 25-osobowa grupa sympatyków sportu założyła Robotniczy Klub Sportowy „Swit”. Prezensem został **Bolesław Kosecki**. Jako pierwsza zaczęła działalność sekcja piłki nożnej, potem dołączyła kolarska. Reorganizacja polskiego sportu przyniosła zmianę nazwy klubu w 1949 roku. RKS „Swit” Nowy Sącz przemianowano na Terenowe Kolo Sportowe „Spójnia” przy Powstaniu Śpółdzielnic Spółdzielni Sportowców. Działalność „Spójni” za cel wytyczyli sobie umasowanie sportu, toteż wkrótce, bo już w 1952 r., w klubie działało aż 18 sekcji. W trzy lata później nastąpiła kolejna zmiana nazwy na KS „Sparta”. W 1957 r. „Sparta” wchłonęła Wojskowy Klub Sportowy „Podhale”. I w ten oto sposób powstał KS „Sparta-Dunajec”, który 3 maja 1959 r. przyjął obecną nazwę—WCKS „Dunajec”, a czołowymi działaczami klubu zostali oficerowie Wojsk Obrony Pogranicza. Dziś wojsko nie pomaga „Dunajcowi”, a klub pozostał wojskowym jedynie z nazwy.

Główne w ostatnich latach sekcje klubu to kajakowa i saneczkarzowska. Kajakowa istnieje od 16 sierpnia 1951 r. Na koniec ma szereg znaczących sukcesów. Medali z mistrzostw Polski (najwięcej) złotych bo aż osiem przysporzyła klubowi **Małgorzata Sekula**, nikt chyba nie potrafi policzyć. Najważniejsze jednak osiągnięcie to udział kajakarzy w Igrzyskach Olimpijskich w 1972 r. Piąte miejsce debiutantów — na torze w Augsburgu — **Jana Frączka** i **Ryszarda Serugi** w konkurencji c-2 uznano za sukces. **Maciej Rychta** i **Zbigniew Leśniak** zajęli w tej rywalizacji 17. miejsce. Ponadto **Wojciech Gawroński** zajął 23. miejsce w konkurencji k-1. Trudno o razu nie dodać, iż **Wojciech Gawroński** był dwukrotnym wicemistrzem

świata i dwukrotnym brązowym medalistą MS w latach 70. Na Olimpiadzie '72 była też **Kunegunda Olchawa**, wówczas **Godawska**. Zajęła piąte miejsce w k-1. Wtedy zawodniczka „Startu”, dziś trenerka sekcji kajakowej na pełnym etacie. Jej mąż, **Władysław Olchawa**, swego czasu świetny zawodnik, wielokrotny medalista mistrzostw Polski (cztery razy sięgał po „złoto”), później trener kadry narodowej kajakarzy, dziś pracuje w klubie na pół etatu.

— *Postawiliśmy w sekcji na młodzież* — informuje mnie długoletni sekretarz klubu, **Zdzisław Popieła**, — *głównie na dziewczęta. Bardzo dobrze pod tym względem układa się nam współpraca ze szkołami, szczególnie ze Szkołą Podstawową nr 4 w Nowym Sączu. Obecnie w sekcji trenuje około 60 osób, z czego 3/4 to juniorki i juniory.*

Ostatnie lata nie przyniosły reprezentan-

zową medalistką MS została też **Barbara Gorgoń**, późniejsza trenerka kadry narodowej saneczkarzy Polski i saneczkarzek ZSRP.

W 1963 r., podczas MS w Imst, **Lucjan Kudzia** („Dunajec”) wraz z **Ryszardem Pędrakiem** („Zdrowie”) Warszawa) wyalicyli złote medale.

Zawodnicy sekcji saneczkarzowej WCKS „Dunajec” startowali też w Igrzyskach Olimpijskich. W Innsbrucku w 1964 r. piąte miejsca zajęli **Barbara Gorgoń** w jedynekach oraz **Lucjan Kudzia** w dwójce, startujący ze **Stanisławem Paczką**. W jedynekach **Lucjan Kudzia** był jedenasty.

Na Olimpiadzie w Grenoble w 1968 r. w jedynekach **Jadwiga Damse** była piątą, **Zbigniew Gawlor** — czwartą, zaś dwójka **Stanisław Paczka** (LZS Mikuszowice) — **Lucjan Kudzia** uplasowała się na 9. pozycji. W Igrzyskach Olimpijskich w Sapporo '72 **Lucjan Kudzia** zajął 13. miejs-

zowanych dwójka **Stawomir Głód** — **Mariusz Burnajew** (członkowie kadry narodowej „B”) zdobyła mistrzostwo Polski juniorów. Inna dwójka juniorów, **Roman Siedlarz** — **Andrzej Oleksy**, zajęła I miejsce w Pucharze Krynicy, w którym startowali saneczkarze z wszystkich polskich klubów.

— *Sekcja zaczęła się „sypać”, gdy skończyły się motywacje dla zawodników; głównie chodziło im o wyjazd zagranicę. Zostajemy coraz bardziej w tyle za czołową krajową. Saneczkarstwo poza tym jest jedyną dyscypliną w Polsce, w której za tytuł mistrza kraju oprócz medalu i dyplomu nie ma pieniędzy, nie mówiąc o jakiegokolwiek nagrodzie rzeczowej. Byłoby pićkarz dostaje forsy, a mistrzowie Polski juniorów w sankach w tym roku nie dostali z „Dunajca” ani grosza. Zresztą sam zrezygnowałem w ub. roku z funkcji trenera kadry narodowej, nie mam bowiem*

Z wizytą w klubie „Dunajec”

tom „Dunajca” większych sukcesów na arenie międzynarodowej. W 1985 roku, podczas mistrzostw świata w Augsburgu, 6. miejsce w konkurencji c-2 zajął para **Bogdan Zgłobicki** — **Krzysztof Pekała**. Rok później w Spittal, podczas MS juniorów, również w c-2 na czwartym miejscu uplasowali się **Maciej Bodziony** i **Robert Gieniec**.

W tym roku, podczas mistrzostw Polski w zjeździe (w Nowym Sączu) zawodnicy „Dunajca” zdobyli komplet medali w konkurencji c-2 seniorów. Złoty wyalicyli **Andrzej Hila** — **Robert Tymbarski**, srebrny **Daniel Miechur** — **Bogdan Okreglak**, a brązowy **Maciej Bodziony** — **Robert Gieniec**. Również w c-2 × 3 bezkonkurencyjnie okazali się zawodnicy „Dunajca” (**Bodziony** — **Gieniec** — **Hila** — **Tymbarski** — **Okreglak** — **Tomasz Górowski**). Po „złoto” sięgnęli także juniorzy — **Ewa Bober** i **Jerzy Sander**. Oboje w k-1.

Latem o zimie trochę pisać nieuczestnie. Trudno jednak nie wspomnieć o sekcji działającej najdłużej w „Dunajcu” obok piłkarskiej, a mającej na koncie najwięcej sukcesów. Pierwszym kierownikiem sekcji saneczkarzowo-bobslejowej był jej założyciel, **Antoni Gorgoń**, który przywodził w Karpacz. Startował w zawodach saneczkarzowych zarówno on, jak i trzy córki — **Antonina**, **Barbara** i **Beata** oraz syn **Janusz**. Można zatem mówić o saneczkarzowym klanie Gorgoniów. Sukcesy i medale, wywalcone przez saneczkarzów rodzinie trudno zliczyć.

Tekst ten nie jest co prawda historią klubu, warto jednak przypomnieć, iż podczas III MS w Krynicy w 1958 r. tytuł wicemistrza świata w jedynekach zdobył **Ryszard Pędrak**. Ten sam zawodnik, startujący w dwójce z **Halina Lachetą**, wyalicył w owych mistrzostwach „brąz”. Brą-

ce w jedynekach, zaś 9.-10. w parze ze **Zbigniewem Gawlorem** w dwójkach.

„Dunajec” Nowy Sącz był wielokrotnym drużynowym mistrzem Polski w saneczkarstwie i bobslejach. Te ostatnie dziś w Polsce nie istnieją. A jak jest w sekcji saneczkarzowej? W ostatnim sezonie startowało 14 zawodniczek i 24 zawodników; tylko jedna seniorka i dwóch seniorów, resztę stanowili juniorzy i młodzież. Sekcją opiekuje się trener I klasy, **Ryszard Gurbowicz**, szkolący saneczkarzy „Dunajca” nieprzerwanie od 1962 roku. Dziś do pomocy ma instruktora, **Dariusza Ziarno**. W 1966 r. **Ryszard Gurbowicz** był trenerem kadry olimpijskiej, potem opiekownikiem reprezentacji Polski juniorów. Prowadził do sukcesów całą plejadę saneczkarzy. Miał i nadal ma dobrą rękę do wyaliciania i wychowywania utalentowanej młodzieży.

— *Nie zabiegamy o dużą liczbę zawodników w sekcji* — mówi **Ryszard Gurbowicz**. — *Dlaczego? Odpowiedź jest prosta — nie ma ich w co ubrać, brak strojów zjazdowych. Nie ma też na czym jeździć. Nie dość, że brak sprzętu sportowego, to jeszcze w klubie stale brakuje pieniędzy. A sanki wyprodukowane w „Polsporcie” w Bielsku-Białej czy importowane z NRD (średniej klasy) kosztowały w poprzednim sezonie ponad 100 tys. zł za sztukę. Bywają takie sytuacje, że na zawodach na jednych sankach startuje po kolei sześciu zawodników. Wówczas na stoku, obok toru, ustawia się sztafeta saneczkarzy, aby jak najszybciej podać sanki od mety w górę, dla następnego.*

Ostatni sezon nie został dokończony. Nie odbyły się przede wszystkim mistrzostwa Polski seniorów. Powód? Warunki atmosferyczne uniemożliwiły ich rozegranie. Stopił się lód na torze. W zawodach

zamiaru wiecznie dopłacać do interesu. W klubie pracuję na pół etatu. Tej pracy nie rzucam — choć czasem mam jej dość — bowiem rozpadłaby się cała sekcja.

— *W klubie nie ma oddanych sprawom sekcji działaczy, toteż wiele spraw muszą załatwiać sam. Inaczej zresztą się ma w CZSSan., którego jestem prezesem. W kręgowym związku mamy wspólnie prowadzić działaczy. Dzięki nim właśnie prowadzimy lipe szkolną w saneczkarstwie. Startuje w niej ok. 200 młodzieży z 10 szkół. Niestety mamy do dyspozycji załedwie 20 sanki. Brak odpowiednich warunków klimatycznych do uprawiania naszej dyscypliny był powodem częstych naszych wyjazdów na treningi do Tatrzńskiej Łomnicy. Bliżej mamy tam niż do Bielska-Białej.*

W minionych latach w nowosądeckim „Dunajcu” działały aż 23 sekcje sportowe. Dziś pozostało sześć. Oprócz wymienionych są jeszcze: piłki nożnej, piłki ręcznej, siatkówki mężczyzn oraz brydża sportowego. W sumie sport uprawia w klubie około 300 zawodników, z tego 70 procent stanowi młodzież.

Najmniej kosztuje utrzymanie sekcji brydżowej, działającej od 1970 r. W ubiegłym roku wydano na nią niespełna 200 tys. zł. Aż się wierzyc nie chce, ale tak właśnie było. Przez kilka lat brydżystki „Dunajca” walczyły — bez powodzenia — o awans do grona drugoligowców. Zabiegi te uwięzione zostały sukcesem dopiero w 1986 r. Autorami awansu do drugiej ligi byli: **Ryszard Chył**, **Roman Maceluch**, **Antoni Stanis**, **Jan Stokłosa**, **Stanisław Waśko**, **Marek Adamczyk**, **Jerzy Brylika** i **Krzysztof Korosadowicz**. Brydżystki nie zagrali jednak zbyt długo miejsca w nowym towarzystwie. Po rocznym pobycie w II lidze spadli do ligi makroregionalnej, która jest odpowiednikiem III ligi.

TADEUSZ STUDZIŃSKI

STADNINA GUBERNATORA (5)

Ogarnia nas lekkie podniecenie, jak przed zdobyciem nieznanego dotąd kobiety. Wehoczmy przez parkan. Całą uwagę zwrócić na dom mieszkalny, bo tylko tam mogą siedzieć ochrona. Rozstawłem chłopców, żeby udaremnić komukolwiek ucieczkę przez okna bawcówki.

Nagle z budy wyskoczyły dwa owczary i pędzą do nas w ciężkich susach. Pewnie zaczęła ujadać i zbudzą wioskę — pomyślałem. Ale nie, podbiegły bliżej przywitać nas tylko ogonami i poobserwować uzbrojona wataha.

— Dobre psi, psie, dobre! — wyciągnął do nich rękę Jelitko. — nie szekajajta, to dostanieta od Jelitki baranie bebeczy. Delicje.

Uroczą bywa swada Jelitki. Zawsze z dowcipem i pogodą.

Zapukaliśmy do drzwi. Podszedł do nich ktoś bosy i nastąpiła dłuższa wymiana zdań. Kto, skąd, po co, dlaczego o północy i dalej w tym sensie. Wreszcie drzwi się trochę otworzyły i wyjrzał bacz w białej. Zdemerowała nas zbyt długa indagacja bacy, bo Góra burknął:

— Na ciula pytasz, po co przyszedł? Przecież nie na wódkę do dziewczuch, bo ich tu nie masz!

W osobnej izbie, na przyczy leżał cywil, odkryty kocami

i paltem. Przedstawił się jako agronom z Krakowa, nazwiskiem Bulik. Przystąpiłem do sprawy i powie-działem mu, że likwidujemy dziś hodowlę nowotarskiego Kreishauptmana. Twarz Bulika zmieniła się trochę, lecz ustąpił łatwo, kiedy poprosiłem o szybkie wciągnięcie spodni. Rozumieliśmy jego rozterkę. Czekaliśmy go rozmowy z żandarmerią, albo ucieczka do innego miasta. Dla człowieka starszego i dobrego szubisty nie jest to perspektywa radosna.

— Pan porucznik rozumie — oponował? grzecznie — jutro będę wezwany na śledztwo i mogą mnie posadzić lub wysłać do Oświęcimia.

— Po co aż tyle obaw? — odpowiedziałem. — Przez noc trzeba przemyśleć co robić. Do osmej nie wolno nikogo alarmować. Dla paru żrebaków nie ryzykuje pan wiele. To Niemcy ze dworu powinni pilnować koni. Każdej zimy jest ofensywa rosyjska. Na razie wiać, a za miesiąc lub dwa będzie po strachu.

Agronom wciągnął buty i nałożył kozuszek. Wyszliśmy na majdan. Bacz otworzył kluczami drzwi do owczarni i koni. Białe kudłaczce spacerowały między chłopcami i dawały się pogłaskać.

— Mam rodzinę w Krakowie — rzekł Bulik po drodze — To jest problem. Powiedział pan „parę żrebaków Kreishauptmana”. Nie parę, a trzydzieści dwa. I nie

żadnego Kreishauptmana, lecz samego gubernatora Franka! Jest to ostatnia stadnina arabsów w Guberni. Reszta wywieziona w głąb Reichu.

— Wszystko prawda — odpowiedziałem — lecz nie mamy czasu.

Widoczny agronom pogodził się z nieubłaganym losem, bo gdyśmy przez chwilę stanęli w sieni, rzekł dość cicho:

— Są tu dwa przepiekne folbluty. Za jedną sztukę podobno, przed wojną Alfred Potocki z Łańcuta wzięł w Ameryce Południowej osiemdziesiąt tysięcy dolarów. Przez ocean wiozł dwa araby! Tygodnik Ilustrowany drukował wtedy fotografie, jak Potocki stoi przy klatce z końmi, które podnosił dźwig okrętowy. To ogromny majątek, te konie! Cate szczęście, że czterech Niemców poszło dziś na noc do Raby. Pryczy były dla nich przygotowane. A mieli spać u nas.

— Macie inteligentne owczary — rzekłem, wskazując na laszacje się lipki pomiędzy partyzantami.

— Ja to znam — powiedział Bulik — one czują broń, tak jak wrony. Pies wie lepiej do człowieka, co można, a czego nie.

Bacz otworzył wrota i pozapalał elektryczne lampy. Na kartoflanych łęczach i grochowinach stały nie powiązane ogiery. Kiedy weszliśmy do stajni, poruszyły się niespokojnie. Długa sierść koni pokrywał szron oddechów. Wszystkie okna pod dachem były otwarte. Bulik wyjaśnił, że zimny wychód podnosi zalety arabskiej rasy. Nagle usłyszałem głos: „Stój bo strzele!” Wybiegłem za wrota i ujrzałem na parkanie kilku góralczyków. Stali przy nich partyzanci.

— Czy to odświec? — spytałem agronoma.

— Nie — wyjaśnił — to młodzi stajenni. Siedmu ich. Wracając z wesela. Dłatego tacy odświetni. Ma pan szczęście, pomogą nam wiać i prowadzić ogiery. Bez

Z makroregionalnej ligi wycofano ostatnio zespół seniorski piłkarzy ręcznych, prowadzony przez Mieczysława Koguta. — Powodem była trudna sytuacja finansowa klubu — mówi sekretarz, Zdzisław Popiela. Koszty utrzymania sekcji były bardzo duże. Z braku odpowiedniej hali zawodnicy nasi musieli jeździć na mecze aż do Gorlic. Jeden taki wyjazd wraz z opłatą za wynajem hali, opłatami sędziów i lekarza (a bez diet, jako że byliśmy gospodarzami zawodów), kosztował nas ok. 100 tys. zł. A w sezonie trzeba było rozegrać 20 spotkań. Po zawieszeniu działalności seniorów w klubie pozostali juniorzy młodzi, występujący pod wodzą trenera Pawła Lupy w lidze M-W oraz dwa zespoły młodzików, które prowadzi Tadeusz Salamon i Zbigniew Popko.

Siatkarze grają w klubie od 1950 roku. Występują w lidze makroregionu. Natomiast działalność siatkarze zawieszono w ubiegłym roku. Powód? Również pustki w kasie klubowej.

Siatkarzy trenuje wychowanek klubu, Bogdan Meżyk, który nadal występuje na parkiecie jako zawodnik. Oprócz niego w zespole „Dunajca” wyróżniają się Krzysztof Potoczek (zamierza przejść do Hutnika Kraków), Zbigniew Jasniński i Krzysztof Trzop.

Największym sukcesem w dziejach sekcji było zajęcie przez juniorów czwartego miejsca w MP w Łodzi w 1983 r. Dziś juniorów trenują Franciszek Kubuszek i Zbigniew Jasniński (prowadzi szkółkę w Starym Sączu).

Wychowankami klubu byli m.in. reprezentanci Polski — Wacław Golec („Hutnik” Kraków) i Maciej Falowski (dziś w „Płomieniu” Miłowice), inne kluby zaśiłała m.in. Zbigniew Kumor („Beskid” Andrychów) i Piotr Szczepanik (AZS Kraków).

Największe kłopoty mają siatkarze — którym marzą się występy w II lidze — ze sprzętem. W kraju nie uświadczyłeś piłek, toteż najczęściej zawodnicy kupują je w CSRS, a następnie piłki odkupuje od nich macierzysty klub. Nie można też nigdzie kupić tenisówek.

Oczkiem w głowie kibiców była, jak chyba zresztą wszędzie, sekcja piłki nożnej. Ostatnio jednak piłkarze obnieśli, i to wyraźnie, loty, toteż na mecze mało kto przychodzi. Dawniej piłkarze „Dunajca” walczyli z powodzeniem w lidze międzyokręgowej. Dziś tutaj są w nowosądeckiej „okręgówce”. Zespół seniorów trenuje Tadeusz Bednarek, juniorów — Józef Bodzioń, zaś juniorów młodszych i trampkarzy — Zbigniew Drożdż. W sumie w sekcji ćwiczy 70 zawodników, w tym 50 juniorów. Są też zawodnicy z ościennych klubów, odbywający w Karpackiej Brygadzie WOP służbę wojskową.

Wielu wychowanków klubu grało bądź też gra jeszcze w znanych klubach ligowych. M.in. reprezentanci Polski juniorów, bramkarze Aleksander Klak i Rafał Nowaczyk występują w „Igłopolu” Debica. Inny reprezentant Polski juniorów, Piotr Świerczewski dziś gra już w I-ligowym GKS Katowice.

Największym problemem sekcji jest brak boiska treningowego. Nie ma butów piłkarskich i korkotrapek. Zawodnicy po meczu dostają jedynie oranżady. Tylko przy dalszych wyjazdach wypłaca im się diety. Jedyną korzyścią dla zawodników jest to, iż mogą u siebie w klubie odbywać zasadniczą służbę wojskową.

Problemy finansowe to największa bolączka całego klubu. Kogokolwiek i w jakiegokolwiek sekcji bym nie zagadał, słyszę to samo: Nie ma pieniędzy. To samo słyszę od prezesa klubu, Józefa Biernata, uprzednio dyrektora WPHW, dziś emeryta.

— Koszty utrzymania klubu w 1988 r., w porównaniu z 1985 r. urosły prawie siedmiokrotnie — informuje. — W tym roku sytuacja jeszcze się pogorszyła. Największą trudnością stanowią dla nas koszty związane z utrzymaniem obiektów, remontami, zakupem węgla i paliwa. Jesteśmy chyba jedynym klubem sferderowanym, który sam utrzymuje obiekty sportowe. Innym klubom koszty te pokrywają zakłady pracy.

W ubiegłym roku 53 proc. dochodów przyniosła nam działalność gospodarcza. Wynajmujemy autobus, mamy bazę noclegową o 30 miejscach w hali. Niezłe kwoty uzyskaliśmy też z transferów zawodników, którzy odchodzą od nas do lepszych klubów.

W ostatnich latach otrzymaliśmy znaczną pomoc finansową ze strony Wydziału Kultury Fizycznej Urzędu Wojewódzkiego. Jest ona jednak niewystarczająca. Tylko na dokończenie remontu budynku klubowego potrzeba nam około 10 mln zł. Prace trwają już drugi rok. Wykonano remont instalacji co, zmierzono oświetlenie hali, poprawiono trzy segmenty trybun, wymalowano pomieszczenia hotelowe i salę do gier zespołowych. Wykonano też kapitalne remonty dachu i elewacji hali oraz urządzeń sanitarnych.

Marzy nam się jak najszybciej ukończenie prac remontowych, aby doprowadzić do należącego wyglądu stadion. Obiekt ten za swoim wyglądem, jednak płyta boiska jest najlepsza w całym mieście. Aby stadion wyglądał jak trzeba, należy wyosiynować około 20 mln zł. Tylko sięgaj wzięć? Liczymy na pomoc Urzędu Wojewódzkiego. Nie mamy bowiem żadnego zakładu patronackiego.

Inna sytuacja była w klubie przed 1980 r. Należeliśmy wówczas do federacji „Sparta”, środki na działalność otrzymywaliśmy od związków zawodowych. Gdy po Sierpniu „Spartę” rozwiązano, jesteśmy — wbrew nazwie — klubem nieczym. Chcielibyśmy przejść do zrzeszenia sportowego „Gwardia”. Był to sprawa zainteresowany nawet sam Wojewoda. Nie chcę nas?

Karpacka Brygada Wojsk Ochrony Pogranicza podlega MSW. W tej sytuacji dobrze by było spowodować zmiany podporządkowania organizacyjnego klubu. Jako klub „gwardyjski” otrzymywalibyśmy pomoc ze strony WOP.

Czynilibyśmy również próby powiązania się z jakimś zakładem pracy. W aktualnej sytuacji ekonomicznej nikt jednak nie kwapi się do objęcia patronatu nad klubem. Chętnie oddalibyśmy całość obiektów klubowych jakiemuś zakładowi pod warunkiem, że klub stał by się zakładowym. Innymi słowy... chcemy się sprzedać. Dlaczego? Trudna sytuacja finansowa, stale rosnące zadłużenia ciężą również na działaczach. A ci łatwo zniechęcają się do społecznej pracy w klubie. Nie musimy chyba tłumaczyć, jak trudno dziś znaleźć działacza z prawdziwego zdarzenia. I choć osiągamy nieraz dobre wyniki sportowe, to sprawy finansowe spędzają nam sen z oczu, są zmorem klubu.

JERZY RZESUTO

Po raz 39. rozegrano mistrzostwo Polski w slalomie kajakowym. Regaty w Drzewicy miały być wszechstronnym przeglądem tego, co mamy najlepszego w tej specjalności kajakowej. Był to ważny sprawdzian, albowiem trzeba pamiętać, iż do olimpijskiego startu w Barcelonie pozostały tylko trzy lata. O garść refleksji z zawodów poprosiliśmy Marka Maślankę, kajakarza SKS „Start” Nowy Sącz, pracownika Wojewódzkiej Federacji Sportu.

— Okręg nasz reprezentowali zawodnicy czterech klubów: „Dunajca” i „Startu” z Nowego Sącza oraz „Pienin” Szczawnica i „Sokolicy” Krościenko, przywódcą z mistrzostw Polski 23 medale. Poziorno było się czym cieszyć. Wróciliśmy jednak z mieszanymi uczuciami. Pozostał we wspomnieniach nie tylko niedosyt, ale i... niesmak.

Trasę, co szczególnie dało się odczuć w kanadyjskich, „ustawiono” pod gospodarzy. Była trudna, nietypowo wysoko umocowano paliaki bramki. Zawodnicy miejscowego „Gerlacha” znali ją dużo wcześniej, mieli „optynaną”, co stanowiło dla nich duży handicap. Na przyszłość — aby zapobiec tego rodzaju sytuacjiom — radziłbym organizatorom MP, żeby na zawodach tej rangi trasę slalomu wytyczał nie trener gospodarzy, lecz trener kadry narodowej PZK. A także, by wszyscy uczestnicy mistrzostw mieli zapewnione jednakowe możliwości udziału w treningu przed decydującym startem.

Czary gorczyły podczas zawodów w Drzewicy dopełniło fatalne w skutkach sędziowanie. Szukawkoł komputer, a ostateczne wyniki podano dopiero w godzinę po zakończeniu regat slalomowych. To sugeruje możliwość manipulacji. Wśród grona skrzywdzonych przez arbitrow znalazła się Beata Sejud z „Sokolicy” Krościenko, która winna znaleźć się w swej konkurencji na medalowej pozycji. Nie jest to tylko moje odczucie. Sklasyfikowano ją zaś na... piątą.

Z niechęcią pozytywno trudno nie wspomnieć o szturmie młodzieży na czołowe miejsca wśród seniorów. Świadczy to dobrze o pracy klubów z młodzieżą. Z drugiej zaś strony trzeba mieć na uwadze i to, że ostatnio z roku na rok w kajakarstwie górskim ubywa nam właśnie seniorów.

Ponieważ żadna z naszych regionalnych gazet, a nawet mające zasięg ogólnopolski „Tempo” (w numerze z 10 bm.

wymieniono tylko nazwiska mistrzów) nie podało kompletu medalowych i punktowanych miejsc zajętych przez reprezentujących nasz okręg w Drzewicy kajakarzy, czynimy to my.

Oto wyniki: k-1 kobiet: 1. Ewa Bober („Dunajec” Nowy Sącz), 2. Bogusława Knapczyk („Sokolica” Krościenko), 4. Dorota Zyzda („Start” Nowy Sącz), 5. Beata Sejud („Sokolica”), 6. Ewa Mierulica („Start”), k-1x3 kobiet: 1. „Sokolica” Krościenko (B. Knapczyk, Ewa Ziemiańka, B. Sejud), 2. „Start” I (D. Zyzda, E. Mierulica, Joanna Gonciarz), 3. „Start” II (Katarzyna Myśliwiec, Elżbieta Bierek, Agnieszka Argasińska); k-1 junior: 1. Ewa Bober, 2. E. Argasińska, 3. Rafał Smoleń, k-1x3: 1. Rafał Smoleń, 2. „Start” I (M. Jaworowicz, R. Smoleń, E. Popiela), 3. „Sokolica” Krościenko (Zb. Zacher, Tadeusz Udział, Paweł Gluc); juniorzy k-1x3: 1. Rafał Smoleń („Start”), 2. Zygmunt Gabryś („Pieniny”), 3. Rafał Kania, 4. Paweł Musiał (oba „Start”), 6. Czesław Ligas („Sokolica”), seniorzy c-1: 4. Grzegorz Sarata („Pieniny”), 5. Marek Maślanka („Start”), c-1x3: 2. „Start” I (M. Maślanka, Daniel Urbanik, Grzegorz Duda), 3. „Pieniny” I (G. Sarata, Arkadiusz Mazurek, Wojciech Wierciach, 6. „Sokolica” (Stanisław Zbodziński, Paweł Pichlarczyk, Krzysztof Jandura); seniorzy c-2: 2. Maciej Bodzioń, Robert Gieniec („Dunajec” Nowy Sącz), 3. Andrzej Hila, Robert Tymbariski („Dunajec” II), 4. Grzegorz Duda, Piotr Koźuch („Start”), 5. Bogdan Okreglak, Daniel Miecchur („Dunajec” — „Start”), 6. Marek Olchawa, Tomasz Gargula, („Dunajec”), c-2x3: 1. „Dunajec” I (M. Bodzioń, R. Gieniec, A. Hila, R. Tymbariski, M. Olchawa, T. Gargula, 2. „Start” I (Janusz Janik, J. Sywaniec, D. Miecchur, P. Koźuch, Grzegorz Danek, Bartłomiej Danek, 4. „Start” II (Tomasz Pogwizd, Grzegorz Klośka, Janusz Kowalczyk, Grzegorz Pancerz, Roman Jeź, Tomasz Nowak; juniorzy c-2: 2. G. Duda, P. Koźuch („Start” I), 3. M. Olchawa, T. Gargula („Dunajec”), 4. J. Janik, J. Sywaniec („Start” II), 6. G. Pancerz, J. Kowalczyk („Start” III).

(J. RZ.)



góralskich byłoby trudno pańskim ludziom, o! trudno! Zresztą zobaczy pan, co to się będzie działo.

Wróciliśmy do ogierów. Spłoszone krzykami i gestami obcych, przebiegły od ściany do ściany. Nikomu z nas nie pozwoliły się złapać. Dokonali tego dopiero stajenni. Na polecenie Bulika jeden z nich przyniósł naręcz linewek. Są to konopne postronki, o długości około półtora metra, zakończone pętlą. Coś w rodzaju zęglarskiej kuszy. Od pętli grubość linewki maleje do przeciwnego końca. Młodzi górale otwierali koniom pyski, a na dolną szczebkę nakładali otwartą pętlę, zaciągając ją aż za trzonowe zęby. Trwało to dość długo, bo zębecie bronły się w różny sposób i brykały po stajni. Góralscy chłopcy zgrabnie nurkowali pod brzuchami koni, aż przyjemnie było patrzeć. Araby biegły na razie luzem, z wiszącymi linewkami przy łąkach. Tylko klacze angielskie zachowały się z godnością, patrzac spokojnie na rozwiertaną młodzież.

Proszę spojrzeć na tego albinosa — powiedział Bulik — to jeden z folblutów. Drugi jest innej maści i trudno go będzie teraz panu rozpoznać. Mam ich rodowody. Niech pan zechce zwrócić uwagę na jego kształty. Od razu widać rasę — co? Proszę zachować dla siebie, niech chłopcy lepiej nie wiedzą, co to za faworyt. On jeden wart tyle, co kilka innych.

Przyrzekłem agronomowi, że na Słowację Siwek nie pójdzę. Ani drugi.

— Kazek, przeprowadź albinosa! — zadysonował Bulik i ruszył ręką.

Kazek wyłuskał białego, owinął linewkę wokół dłoni i ustawił go frontem przed nami. Po chwili z lewego i prawego boku. Po tej prezentacji przedelfował klusem na lewo od widzów, potem na prawo i znów stanął frontem na pożegnanie. Pan Bulik kiwnął głową, a chłopiec puścił araba. Siwek był nieduży, jak wszyst-

kie pozostałe. Miał mały łeb z czarną gwiazdką na czole. Onegdaj odstawał wysoko od zadu. Pęcina, szyja i jego tanczyk brok był pełne wdzięku. Natura wysiliła się, żeby stworzyć tę czworonożną lalkę.

— Takie pokazy robimy zawsze przed dygnitarzami z Krakowa — rzekł Bulik. — Przepraszam: „robbilisy” — Chłopcy są wyszkoleni.

Tymczasem Puma rozmawiał z bacą.

— Ile macie owiec? — pytał go Puma.

— Pewnie ze sto dziesięć — odpowiedział góral — ale z trykiem. Jak się coś rodzi, to Niemcy biorą dużą sztukę na stół do dworu w Rabie. Zawsze jest mniej więcej sto dziesięć.

Spytałem Jelitki, czy ma nóż rzeźnicki? Poleciłem mu sprawić pięć owiec, odcyzić je i w plecak. Po zapakowaniu mięsa — puścimy stado w dół. Jelitko potrzebował — jak mówił — dwadzieścia minut na operację piątki.

Baco — zwróciłem się do gazdy — ilu trzeba chłopców do pędzenia stada?

Jednego — powiedział baco. — Juhas, co kierdel prowadzi, też jest tren. Psy brodzą, ale do zaganiania na pastwisko. Tylko tryka do zbrodka dać i jazda z nimi. O, tego tu, czarnego diabła. Jak on pójdzie, to owce za nim, choćby do samego piekła!

Wszystkie konie wybrano już ze stajni na wybieg i zaczęła się zabawa w berka. Ogierki wyszarpowały linewki z rąk stajennych i spacerowały na zadnich kopytach, jak w cyrku. Gdy chłopiec uniesiony w linewką wypuszczal je z rąk, wtedy arab galopował wokół majdanu. Ich rzemie rozlegało się na cały Beskid Średni. Plac był pochyły, porośnięty oszronioną trawą. Zdarzało się co chwile, że źrebię pędzi w dół, a stajenny trzyma się oburącz linewki i sunie za nim ślizgiem na kierzpach, jak narciarz. Utrzymać się

bosym skóringiem na stoku w galopie można tylko na góralskich nogach. Jak chłopiec trafił na grude, lub kreci kopczyk, koziołkował kilkanaście metrów. Natychmiast jednak stawał na nogi i chwycił pierwszego przebiegającego łuzem źrebaka, aby powtórzyć popis zręczności. Był to widok godny sztuk kowbojskich. Żadne wyścigi nie dały mi tyle emocji, co księżycowy turniej w Bielance. Jeszcze do tego, góralcyzy byli w czystych strojach regionalnych: chuchy, bukwie portki i kapelusze. Partyzanci cmokali z zachwytem, gdy w pobliżu pędziła jakaś para w gonitwie, kończącej się koziołkowaniem stajennego.

Już jakby cały tabun był ujarzmiony, kiedy spod bramy wyrwało się pięć ogierów. Po okrażeniu majdanu, z głośnym pa-ta-taj, pa-ta-taj, pa-ta-taj — na grudzie, wpały galopem do stajni. A tu stajnia pusta... Tylko łęciny zostały. Więc sieroty żarzały ze smutku. Pobiegłem do nich z kilkoma chłopcami. Potapali uciekinierów i wróciliśmy do stada.

Piętnaście arabów jedną klaczką odliczyłem Wiarusowi do odprowadzenia Borucie. Wiarus dosiadł angielki, a Gwidzek założył jej własną wdzię odpasną z bioder. Jednego araba przytrzychnął Wiarus do klaczy. Zsóstka pozostałych poszło trzema stajennymi do Bielanki, a każdy z parobków Wiarusa trzymał po dwa konie. W Harkabuzie mieli sobie dobrą chopców do pomocy. Zaraz za bramą skręcili w prawo pod górę, kierując się na dukt grzbiętowy. Mało zaludniona Orawa zapewniała Wiarusowi względne bezpieczeństwo w pochodzie do Sidziny. Kiedy zniknęli za smrekami na wzgórze, zrobiło mi się trochę źle na sercu. Dla kilkunastu partyzantów było za dużo tego dobytku. Nie byliśmy na to przygotowani, ale trudno.

(ciąg dalszy nastąpi)



Gospodarować oszczędniej

Z programu poprawy wyników działalności ekonomiczno-finansowej SZEW w bieżącym roku:

Podstawowym celem gospodarki przedsiębiorstwa w obecnych warunkach jest efektywność ekonomiczna i ograniczenie zaangażowania środków finansowych. SZEW nie dysponuje własnymi środkami finansowymi, które w wystarczający sposób pokryłyby zgromadzone aktywa (czyli ogół środków gospodarczych pozostających w danej chwili w przedsiębiorstwie). W znacznym stopniu pokrywa się je kredytem bankowym, bardzo wysoko oprocentowanym (do 86 proc.).

Z drugiej strony, nie zawsze racjonalne wydatki oraz niepełne i niewłaściwe wykorzystanie własnego potencjału gospodarczego przedsiębiorstwa ogranicza osiągnięcie odpowiedniego zysku. Planowana zysk nie daje możliwości pokrycia bardzo szybko wzrastających potrzeb finansowych między innymi z powodu: zwiększania się zapasów materiałowych i produkcyjnych; potrzeb inwestycyjnych przy bardzo długich cyklach powodujących zamrożenie środków; zapotrzebowania środków na wynagrodzenia oraz na fundusz załogi; nacisku środowiska, by SZEW świadczył na cele społecznie użyteczne; należności przeterminowanych, wynikających z ogólnego zatoru płatniczego występującego u prawie wszystkich odbiorców naszych wyrobów i usług (na 30 kwietnia br. odbiorcy byli nam winni 510 mln zł, w tym m.in. Huta im. Lenina 122 mln zł, Huta im. Nowotki 62 mln zł, a Huta „Warszawa” — 87 mln zł).

Sytuacja finansowa naszego przedsiębiorstwa po czterech miesiącach bieżącego roku wymagała podjęcia wielokierunkowych działań zmierzających do wdrożenia programu poprawy wyników działalności ekonomiczno-finansowej. Służąc temu mają między innymi takie przedsięwzięcia, jak: wdrożenie zasady negocjowania i badania wszelkich umów oraz porozumień pod względem ich celowości,

koniczności konkretnego rozwiązania, oświadczalności finansowej, prawidłowości warunków technicznych, finansowych; wdrażanie efektywnych rozwiązań, dotyczących stosowania w SZEW agencji, dzierżawy, spółek, akcji pracowniczych i innych; dokonywanie analizy i ustalenie na poszczególne kwartały bieżącego roku maksymalnie dopuszczalnych wielkości kredytów bankowych; przyspieszenie płatności naszymu przedsiębiorstwu należności przez odbiorców wyrobów SZEW (np. poprzez wzmocnienie windykacji należności, zawieranie umów, odpowiadanie, zmiany formy zapłaty itp.); ograniczenie w znacznym stopniu udziału pracowników w szkoleniach, konferencjach, sympozjach i innych tego rodzaju spotkaniach.

Postanawia się także: dokonywać okresowej analizy rentowności poszczególnych asortymentów wyrobów, robót i usług, w celu uniknięcia nieopłacalnej sprzedaży; upłynniać nadmierne zapasy wyrobów gotowych, przy zachowaniu zasady opłacalności; stosować zasadę opłacalności przy odsprzedaży materiałów osobom fizycznym lub prawnym; ściśle przestrzegać zasady terminowego fakturowania dostaw, robót i usług (najpóźniej w trzy dni po odbiorze lub wysyłce).

Program zawiera także kilka wskazówek mających na celu racjonalizację produkcji, techniki i technologii, w tym między innymi: programowanie produkcji podstawowej przy założeniu optymalnej efektywności ekonomicznej; produkcję wyrobów wyłącznie opłacalnych i łatwo zbywalnych; racjonalizację wykorzystywania własnych i zakupionych odpadów produkcyjnych w celu poprawy efektywności ich zagospodarowania (np. poprzez produkcję wykładzin bojących, karburizację, wyrobów drobnych); ukierunkowanie prac badawczych w większym stopniu na przedsięwzięcia dające bieżące korzyści operacyjne dla SZEW oraz sprzedawane na zewnątrz.

SZEW jest... technologia, czyli używanie do produkcji łatwopalnych surowców, takich jak smoła czy pak. Do zapróżnienia ognia dochodzi także przy okazji prac remontowych, np. podczas spawania nadmierne osmolonych konstrukcji. Dlatego opracowaliśmy specjalny zestaw prac szczególnie niebezpiecznych, na wykonanie których trzeba mieć specjalne zlecenie.

Działła Zakładowa Komisja Bezpieczeństwa Technicznego i Pożarowego, której przewodniczy zastępca dyrektora do spraw technicznych. Jej zadaniem jest między innymi: sprawdzanie i ocena prawidłowości przygotowania nowych obiektów i technologii pod względem bezpieczeństwa technicznego i przeciwpożarowego; prowadzenie kontroli przeciwpożarowych w zakładzie; dokonywanie okresowych analiz stanu bezpieczeństwa technicznego i pożarowego oraz wyciąganie z tego wniosków na przyszłość; opiniowanie zakupu sprzętu przeciwpożarowego; kontrola posiadania atestów i zaświadczeń o dopuszczeniu do pracy maszyn i urządzeń z importu; prowadzenie dochodzeń po pożarach; wnioskowanie o ukaranie pracowników dopuszczających się zaniedbań z dziedziny bezpieczeństwa technicznego i pożarowego; kontrolowanie zabezpieczenia przeciwpożarowego procesów technologicznych, funkcjonowania urządzeń, prawidłowości eksploatacji środków transportu, w tym również dróg ewakuacyjnych i pożarowych; przeglądy budynków przemysłowych i mieszkalnych; programowanie i aktualizacja prewencji pożarowej i wypadkowej; opiniowanie nowelizacji przepisów z zakresu bhp i ochrony przeciwpożarowej.

SZEW jest jedynym zakładem w Nowosądeckim, w którym działa Ochotnicze Pogotowie Ratownicze Gazowe. Tworzą je strażacy oraz pracownicy poszczególnych wydziałów. Zaznacza jednak, że zabezpieczenie przed zagrożeniem gazowym jedynym swój zakład, wątpię czy potrafilibyśmy udzielić pomocy jakiemś innemu przedsiębiorstwu. Żeby być członkiem Ochotniczego Pogotowia Ratownictwa Gazowego — trzeba zakład znać jak własną kieszeń.

Czytelnicy pytają

Na czym polega niedawna nowelizacja przepisów dotyczących kredytów dla młodych małżeństw?

Jak poinformowano mnie w PKO, podniesiona została maksymalna kwota pożyczki do 1 miliona 60 tys. zł. Jest to 20-krotna ubiegłoroczna średnia płaca krajowa. Według tej zasady w przyszłości będzie automatycznie regulowana wysokość kredytów dla młodych małżeństw. Zniesiono także listy towarowe i książeczki czekowe. Pieniądże dostaje się do ręki i młodzi, tak jak wszyscy klienci mogą kupować co chcą lub co... znajdują w sklepie.

Kto może ubiegać się o kredyt?

W myśl nowych przepisów — młodzi małżonkowie mogą ubiegać się o bankową pożyczkę nawet wtedy, gdy nie posiadają samodzielnego mieszkania, co dotychczas było jednym z warunków otrzymania kredytu. Obecnie wymagany jest staż

małżeński nie dłuższy niż dwaście miesięcy oraz to, by przynajmniej jedno z małżonków pracowało. Wyjątkowo w tym roku o pożyczkę mogą ubiegać się małżeństwa nieco starsze, jeśli w 1989 roku otrzymały mieszkanie.

Czy zakład ma obowiązek pomóc w spłaceniu kredytów?

Miesięczną spłatę kredytu ustalono na razie na 35 tys. zł. Będzie się zmieniała w zależności od stopy oprocentowania. Wzroście pożyczki może — ale nie musi — pomóc zakład pracy. Zależy to od możliwości fabrycznej kasy. To rozstrzygnięcie prawne może być swego rodzaju kością niezgody w zakładach. Dylemat: pomóc młodym czy dzielić środki według potrzeb całej załogi — nie jest zapewne łatwą do rozstrzygnięcia. Można jednak sądzić, że pomoc w spłacie kredytu będzie jednym z elementów wpływających na decyzje młodych pracowników o pozostaniu w dotychczasowym miejscu pracy. A te decyzje nie są chyba obojętne dla przedsiębiorstwa, które stało narzekającą na niedostatek rąk do pracy...

Na przybytku z zewnątrz największe wrazenie robią włączone młyny: huk potworny, a zapalenie takie, że trudno czasami dostrzec własną wyciągniętą rękę... Każdy po krótkim pobycie w młynowni przypomina górnik po osmiogodzinnej szczybie. Ale młynownia, to tylko jeden z kilku obiektów wydziału przygotowania surowców. Od osmiu lat kieruje nim Marek Pulit. Oto co mówi o swej pracy:

Wydział przygotowania surowców obejmuje następujące obiekty: magazyn surowców stałych (obecnie znajduje się w nim 1500 ton koksu i antracytu) z kruszarnią, kalcynownią, młynownią i prasownią. Najbardziej hałaśliwa jest młynownia, tutaj występuje także znaczne zapalenie. W kalcynowni odbywa się prażenie surowców bez dostępu powietrza, w temperaturze od 1100 do 1300 stopni Celsjusza. Służą do tego specjalne piece kalcynacyjne, które pracują około 6 lat, a następnie stawia się nowe. W młynowni surowce stałe są rozdrabniane, selekcyjonowane i mielone, a następnie trafiają do prasowni.

Jak już wspominałem — największą uciążliwość wydziału przygotowania surowców jest nadmierne zapalenie. Niedawno zainstalowaliśmy dwa nowe filtry pulsacyjne, które nieco złagodziły sytuację, ale całą nadzieję pokładamy w modernizacji SZEW, w ramach której przewidziano między innymi wymianę całej instalacji odpylającej w naszym wydziale. Wierzę, że wówczas zapalenie przestanie nam się aż tak dawać we znaki.

W wydziale pracuje 50 robotników i 7 pracowników administracyjnych. Trzon załogi stanowią aparaty procesów wyrobów węglowych i piecowi wyrobów elektrodowych. Dodam jeszcze, że połowa

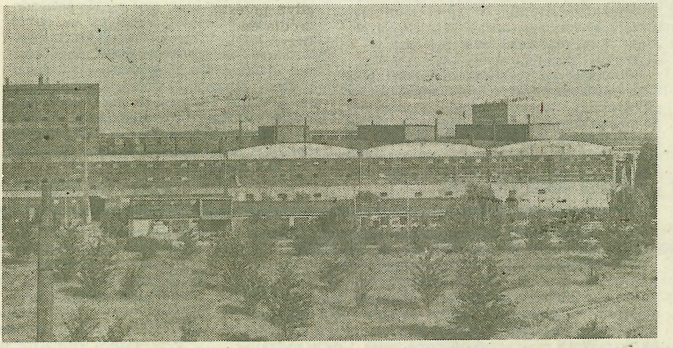
Grunt to załoga

naszych pracowników posiada uprawnienia do obsługi suwnic i tyleż samo ma uprawnienia do obsługi urządzeń elektryczno-energetycznych (piece, wyletatory, młyny, kruszarki).

Mam ustabilizowaną załogę: ponad 30 osób legitymuje się 15-letnim stażem pracy, zaś 12 przepracowało już ćwierć wieku. To doświadczeni fachowcy. Jesteśmy jednym z nielicznych wydziałów, który nie narzeka na braki kadrowe. Gorzej będzie, gdy starsi pracownicy odejdą wkrótce na zasłużone emerytury, wtedy na gwałt trzeba będzie szukać następców. Obawiam się jednak, iż mogą być z tym kłopoty, gdyż młodzi ludzie niechętnie podejmują się tak ciężkiej pracy, jaką jest w wydziale przygotowania surowców.

Pracujemy w systemie 4-brygadowym oraz systemie premii przyrostowej rozszerzonej. Mamy spore oszczędności w zużyciu gazu ziemnego i energii elektrycznej. Pochwale się, że w ostatnich miesiącach zużycie gazu wynosi 35 metrów sześciennych na tonę wyrobu gdy w ubiegłym roku — średnio 50 metrów sześciennych na tonę. Warto wiedzieć, że przy produkcji w kalcynowni, wynoszącej 2 tys. ton surowców miesięcznie, oszczędzamy około 30 tys. metrów sześciennych gazu. Oszczędzamy gospodarzom także energię elektryczną.

Obok realizacji naszego głównego zadania, jakim jest przygotowanie surowców do dalszej produkcji — wytwarzamy także bezpośrednio na eksport gryz grafitowy do RFN, zaś ostatnio — koks naftowy kalcyacyjny do Czechosłowacji i RFN.



Z radiowęzła

Mimo różnych prób, atestacji i tym podobnych przedsięwzięć — nie kurczą się rozmiary zakładowej administracji. Czasem nawet w pokojach biurowych robi się ciszej. Przedsiębiorstwa dowodzą, że jest to między innymi skutek nadmiernej obciążenia ich obowiązkami przygotowywania różnych sprawozdań, zestawień statystycznych i porównań. Jest w tym rzeczywistość dużo racji. Bywa, że w jednym zakładzie przychodzi opracować w ciągu roku nawet 170 różnego rodzaju sprawozdań.

Jednakże — jak w rozmowie z dziennikarzami dowodził jeden z wiceprezesów GUS — centralna statystyka stanowi tylko jedną czwartą wszystkich dokumentów sprawozdawczych przygotowywanych w zakładach pracy. Co oczywiście nie znaczy, że i to nie jest za dużo. GUS podejmuje wiele przedsięwzięć zmierzających do ograniczenia sprawozdawczo-

papierkowych wymagań wobec zakładów. Pozostaje tylko życzyć wytrwałości w tych działaniach.

Okazuje się zatem, że trzy czwarte sprawozdań i analiz przygotowuje się w przedsiębiorstwach na zlecenie resortów, central związków spółdzielczych czy do niedawna jeszcze zrzeszeń. Spółki, w które zmieniło się wiele zrzeszeń, mają też wiele tego rodzaju zamówień w stosunku do zakładów. Jakże często dotyczą one rzeczy nieistotnych, niekiedy są wręcz absurdalne. Oto na przykład firmy zajmujące się hodowlą zwierząt futerkowych muszą przysyłać do swych jednostek nadzórnych sprawozdania mówiące nie tylko o ilości nutri, ale także o ich kolorach!

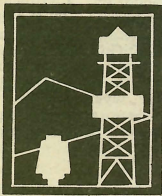
Co prawda organa centralnej administracji nie mają w sprawozdawczości absolutnej swobody. Muszą uzgadniać z GUS projekty statystycznych opracowań zleczanych firmom. Ale to tylko teoria. Zresztą — jak to przyznał samokrytycznie wiceszef GUS — urząd ten był zbyt bierny i łatwo godził się na sugestie ministerstwa. Jest więc jak jest. A wszystko to sporo kosztuje. Biurokracja ma się nadal dobrze i jakby coraz lepiej. Niestety.

Zawsze gotowi

Mówi komendant Zakładowej Zawodowej Straży Pożarnej, starszy chorąży pożarnictwa, Zdzisław Tokarz: — Jest nas dwudziestu siedmiu. Posiadamy sprawny sprzęt gaśniczy, gwarantujący skuteczną interwencję w razie pożaru. Nasza jednostka, jako jedyna w województwie, dysponuje norweskim samochodem pożarniczym „Skuteng”, którego wydajność wynosi 4 tysiące litrów wody na minutę. Mamy również dwa „jelcze” i agregaty pianowe austriackiej firmy „Total”. Ochronę przeciwpożarową na terenie przedsiębiorstwa określamy jako zadawalającą, choć daleką od marzeń. Warto wiedzieć, że w SZEW używamy do produkcji łatwopalnych surowców, a więc zagrożenie pożarowe jest stałe. Strażacy muszą także asystować przy wszystkich pracach wykonywanych przez służby utrzymania ruchu (remontowych, spawalniczych, modernizacyjnych). W programie modernizacji SZEW przewidziano półstałe instalacje ochrony przeciwpożarowej, które umożliwiają gaszenie ognia nawet w miejscach niedostępnych dla człowieka. Półstałe gaśnice zaistalowano już w piecowni i doskonale zabezpieczają ten obiekt.

Każdy, kto podejmuje pracę w naszym zakładzie, jest szkolony z dziedziny bhp i ochrony przeciwpożarowej. Pracownik powinien więc orientować się czy powierzony mu sprzęt jest używany zgodnie z przepisami; znać instrukcję przeciwpożarową oraz instrukcję technologiczno-ruchową; zgłaszać przełożonym każda zauważona nieprawidłowość; brać udział w szkoleniach bhp i ochrony przeciwpożarowej. Szkolimy pracowników zaraz po przyjęciu do pracy, a następnie okresowo. Najczęstszą przyczyną pożarów w

Kolumnę „Elektrografit”,
Sądeckich Zakładów
Elektro-Węglowych,
redaguje DANUTA BINEK



Głos Glinika

Ostatnia uchwała

31 lipca odbyło się ostatnie posiedzenie Rady Pracowniczej III kadencji, na którym obradowano nad jej odwołaniem. Niejednoznacznie przepisów oraz okres urlopowy opóźniły podjęcie przez Radę uchwały o wygaśnięciu mandatów jej członków. Zgodnie z wolą większości wyborców (przypomnijmy: za pozostaniem Rady głosowało 812 pracowników, za odwołaniem — 3404), podjęto następującą uchwałę:

W nawiązaniu do protokołu zakładowej komisji wyborczej z dnia 29 czerwca 1989 r., dotyczącego głosowania w przedmiocie wotum nieufności, oraz na podstawie paragrafu 65. ustawy drugiej ordynacji wyborczej do organów samorządu załogi FMWiG „Glinik”, Rada Pracownicza III kadencji postanawia z dniem 31 lipca zaprzestać swojej działalności statutowej i uchwała wygaśnięcie mandatów wszystkich swych członków. W myśl artykułu 51 ustępu 4 ustawy o samorządzie załogi z dnia 25 września 1985 roku, kompetencje Rady Pracowniczej przejmie dyrektor przedsiębiorstwa do czasu ukonstytuowania się Rady Pracowniczej IV kadencji. Wybory nowej Rady, w trybie przewidzianym w ordynacji wyborczej samorządu załogi FMWiG „Glinik”, zobowiązany jest zarządzić dyrektor przedsiębiorstwa.

ZSMP informuje

● Nie słabnącym powodzeniem cieszą się organizowane przez Wojewódzki Uniwersytet Robotniczy — a przy udziale ZSMP — kursy na prawo jazdy amatorskiej kategorii „B”. W drugim już tego roku kursie uczestniczyło sześćdziesiąt członków glinickiej organizacji młodzieżowej. Chcąc pomóc w opłaceniu niemałych kosztów szkolenia (ponad 80 tysięcy złotych), związek postanowił każdemu z nich pokryć część opłaty (15 tysięcy złotych). Możliwe, że wobec dużego zainteresowania kursami samochodem dojeżdżąc do skutku trzeci, który rozpoczął się we wrześniu.

● Trwają przygotowania do plenarnego posiedzenia Zarządu Zakładowego ZSMP, które ma się odbyć we wrześniu. Posiedzenie poświęcone zostanie przede wszystkim dwóm tematom: roli młodzieży robotniczej w dużych zakładach pracy oraz kształtowi ZSMP w tychże zakładach.



Stojaki hydrauliczne SHC

Od kilku lat wiele się mówi o rentowności państwowych przedsiębiorstw, o konieczności zmian przestarzałej struktury naszej gospodarki. Nowoczesne, oszczędne technologie, sprawna organizacja pracy, maksymalne wykorzystanie posiadanego majątku — mają być receptą na ekonomiczny sukces. Przedsiębiorstwa powinny dostosowywać się do tendencji panujących nie tylko w krajowej gospodarce. Aby sprostać tym zadaniom, kierownictwa zakładów muszą opracowywać plany przemian, których realizacja pozwoli dotrzeć do punktu wyzwoleń trudnych czasów. Taki plan — propozycję stopniowej ewolucji przedsiębiorstwa, opartą na rzeczowych analizach, poddano w sierpniu pod dyskusję również w największym zakładzie pracy naszego województwa. Warto zapoznać się z treścią tego opracowania.

Wobec wciąż dużego popytu na maszyny górnicze i wiertnicze, będą one w latach 1989 — 1992 nadal podstawowymi wyrobami Fabryki Maszyn. Zapotrzebowanie na te urządzenia jest tak wielkie, że „Glinik” może zrealizować np. tylko 75,4 proc. zamówień na obudowy górnicze. Większa produkcja nie jest możliwa ze względu na trudności z zaopatrzeniem w materiały i ograniczone zdolności wytwórcze. Znacznie lepiej radzi sobie zakład z produkcją wiertniczą — zamówienia na wiele wyrobów realizowane są w stu procentach. Tak duża zdolność wytwarzania urządzeń wiertniczych jest szansą dla zakładu — zważywszy, że program wzrostu wydobycia gazu w Polsce od roku 1990 spowoduje zintensyfikowanie wierceń, a więc i większe zapotrzebowanie na sprzęt wiertniczy. Wzrost tego zapotrzebowania ocenia się na 30 procent. Widąc zatem, iż pomimo tendencji do wstrzymywania produkcji materiału i energochłonnej (a taka jest, niestety, produkcja na potrzeby przemysłu wydobywczego), popyt na wyroby Fabryki nie zmaleje, a w przypadku urządzeń wiertniczych — nawet wzrośnie. Konunktura ta będzie na pewno długotrwała, gdyż przestawienie energetyki na inne źródła energii (np. jądrowa) wymaga olbrzymich nakładów i długiego czasu. Mimo tych pomyślnych rokowań dalsza przyszłość zakładu zależeć będzie od przedstawienia produkcji na wyroby o niskiej energochłonności i wysokim stopniu przetworzenia.

● Aby ewolucja przedsiębiorstwa w pożądanym kierunku była możliwa, należy przezwyciężyć podstawowe problemy i niedomagania.

Jednym z najważniejszych jest wspomniana już materiało- i energochłonna produkcja. Zakładowy wskaźnik zużycia materiałów i energii jest wysoki, choć w ostatnich latach zrobiono wiele, by wytwory Fabryki zmódnernizować. Dość wspomnieć, że ogólny ilościowy parametr energochłonności, wyrażony w gigadżulach na tonę wyrobu, wyniósł w ubiegłym roku 22,1, a był mniejszy w porównaniu z rokiem 1987 o 1,8 jednostki.

Ogłoszenie

Dyrekcja Zespołu Szkół Zawodowych przy FMWiG „Glinik” w Gorlicach ogłasza zapisy do technikum mechanicznego dla pracujących na rok szkolny 1989/90 w specjalności obróbka skrawaniem. Podanie wraz z życiorysem i świadectwem ukończenia zasadniczej szkoły zawodowej należy składać w sekretariacie Zespołu Szkół w godzinach od 10 do 14. Kandydaci powinni również złożyć w dziale szkolenia podanie do dyrekcji Fabryki o zezwolenie na kontynuowanie nauki, zapoinowane przez kierownika swojego wydziału.

Szansę na oszczędzanie energii kryją się w opracowaniu nowych, „odchudzonych” konstrukcji oraz stosowaniu doskonałych materiałów. Należy też rozważyć możliwość wykorzystania wycofaných z kopalń (po amortyzacji) konstrukcji stalowych obudów. W tym celu można by powołać spółkę, której udziałowcami byłby „Glinik” i zakłady naprawcze przy kopalniach. Przegląd i remont spawanych części obudów przeprowadzono by na Śląsku, zaś siłowników — w Fabryce. Interesującą propozycją byłoby utworzenie w wydziale obudów grupy pracowników, którzy wyszukivaliby pełnowartościowe materiały z poprodukcyjnych odpadów. Należy opracować sposób rekuperacji (odzyskiwania) ciepła, bezproduktywnie uchodzącego z pieców do kucia swobodnego i matrycowego w wydziale kuźniczym. Jeszcze jedną drogą do oszczędności jest wykonywanie elementów do obudów zmechanizowanych ze stali o podwyższonej wytrzymałości. Omówione działania winny w ciągu dwóch-trzech lat zmniejszyć wskaźnik materiałochłonności do około 60-55 zł/100 zł w stosunku do kosztu własnego (aktualnie — około 70 zł/100 zł).

Jaki będziesz „Gliniku”?

Druga, obok wysokiego zużycia energii i materiałów, przeszkodą w osiągnięciu wysokiej rentowności, jest niepełne wykorzystanie obrabiarek i czasu pracy. Ogółem — wyrażony w procentach wskaźnik wykorzystania maszyn w ciągu pięciu miesięcy bieżącego roku wyniósł 72 proc., jednak pomiędzy poszczególnymi wydziałami były duże różnice. Np. wydział obróbki cieplnej wykorzystywał w tym czasie maszyny w 53,4 proc., a wydział obudów — aż w 113,9 proc. Jak wykazały przeprowadzone od stycznia do maja tego roku chronometraży — największe zaleźne od pracownika straty czasu zanotowano w wydziale urządzeń wiertniczych, zaś straty czasu wynikły z przyczyn organizacyjno-technicznych i czasu poświęconego na pracę nieproduktywną — w matrycowni. Wyniki pomiarów należy traktować jako przybliżone, bo już sama obecność obserwatora dyscyplinowała pracowników. Dokładna, wiarygodna analiza pozwoli na lepsze wykorzystanie maszyn, pozycybie się urządzeń najbardziej zużytych, na przesunięcie robotników do prac będących „wąskimi gardłami” i wyeliminowanie ludzi nie wykorzystanych i mało wydajnych. Organizacyjno-ekonomiczne przedsięwzięcia, podjęte w wyniku analiz, nie mogą być narzucać odcinki. Muszą być traktowane jako normalne następstwa walki o pomyślną przyszłość zakładu.

● Bierna kooperacja — to trzecia sprawa, od której zależy ekonomiczne wyniki przedsiębiorstwa. Polega ona na wykonywaniu przez kooperantów określonej obróbki, „Glinik” natomiast zapewnia materiały, wstępna obróbka, a nawet sprzęt i narzędzia. Ten rodzaj kooperowania podtykowany jest chęcią odciążenia fabrycznych maszyn i niektórych grup pracowników, ale obciąża dodatkowymi obowiązkami zakładowe służby zaopatrzeniowe.

Nawiązanie przed laty kooperacji biernej było koniecznością. W założeniach wieloletniego planu przyjęto stopniowy wzrost produkcji — przede wszystkim obudów górniczych. Brak środków inwestycyjnych, dekapitalizacja majątku trwałego oraz kłopoty z obsadzeniem niektórych stanowisk pracy spowodowały, że Fabryka nie mogła własnymi siłami sprostać zobowiązaniom, konieczna była pomoc z zewnątrz. Począwszy od roku 1985 zaczęto coraz szerzej korzystać z tej formy współpracy.

System kooperacji wymaga zmian. Należy zawierać z kooperantami umowy długoterminowe na seryjną produkcję podzespołów wykonywanych w całości, z materiałów zdobywanych samodzielnie, bez udziału „Glinika”. Podzespół powinien być dostarczony przedsiębiorstwu — jeśli trzeba go zmontować, jeśli nie — wysłany bezpośrednio do odbiorcy. Technologie należy kooperantom sprzedawać, a nie przekazywać bezpłatnie, winno się żądać na wykonane podzespoły gwarancji oraz obsługi gwarancyjnej i serwisowej.

W systemie kontroli jakości i obsługi serwisowej również tkwią rezerwy. Czuwanie nad jakością ogranicza się dotychczas do odbioru materiałów, kontroli elementów w trakcie produkcji oraz kontroli końcowej. Serwis nadzoruje (w kraju i za granicą) montaż i rozruch urządzeń, usuwa zgłaszane usterki. Kontrola jakości prowadzi też ewidencje produkcji wybrakowanej, reklamacji zewnętrznych i wewnętrznych. Ta ważna dla przedsiębiorstwa struktura organizacyjna wymaga lepszego wyposażenia w przyrządy pomiarowe — szczególnie w urządzeniu do niemięszczącej analizy składu stali. W nowej

sytuacji gospodarczej służby kontroli jakości powinny dążyć do rozszerzenia możliwości sterowania jakością (wykorzystując posiadane informacje) do zdecydowanego rozszerzenia bardzo opłacalnych usług serwisowych. Muszą też wypracować system dochodzenia odszkodowań za braki wynikłe z winy pracownika, mieć lepsze niż dotąd rozpoznanie przyczyn złej jakości i moc skutecznie te przyczyny usuwać.

W najbliższej przyszłości ewoluować w pożądanym kierunku musi również struktura organizacyjna i zarządkowa. Wiadomo, że wobec braku dotacji konieczna będzie większa samodzielność pionów i komórek oraz usprawnienie systemu decyzyjnego. Wobec tego należy zastanowić się nad możliwością utworzenia samodzielnego pionu, zajmującego się całością spraw handlowo-ekonomicznych (planowaniem, zbytem, zaopatrzeniem, eksportem i importem, wpływami, itd.), pionu technicznego (ochrona środowiska, inwestycje, utrzymanie ruchu, przyrządowanie, technologie, konstrukcja) oraz pionu produkcji i kooperacji. Korzyści takich zmian będzie uproszczenie zarządzania oraz ukrócenie biurokracji i zrzućcia na innych odpowiedzialności za skutki podejmowanych decyzji. Ważne również, by wszelkie zebrania organizacji politycznych, zawodowych i społecznych przenieść poza zakład i godzinę pracy.

● Efektom wszystkich wymienionych wyżej działań będzie stopniowa restrukturyzacja produkcji przedsiębiorstwa.

Szybka zmiana profilu produkcji jest niemożliwa ze względu na wyspecjalizowanie fabrycznego sprzętu, jak też konieczność zaspokajania potrzeb przemysłu wydobywczego. Zakład — w oparciu o analizy ekonomiczne — powinien zaprzestać wytwarzania wyrobów nierentownych. Należy również opracować i podjąć produkcję nowoczesnych maszyn górniczych i osprzętu, dostosowanych do nowych technik eksploatacyjnych. Rozwój produkcji wiertniczej — to wytwarzanie nowych rodzajów wiertnic i narzędzi.

Uwzględniając przewidywane na najbliższe lata tendencje w gospodarce narodowej, koniecznością — a i szansą — zakładu będzie podjęcie produkcji na potrzeby rynku. Zakład ma to być przede wszystkim zmechanizowane urządzenia budowlane i maszyny rolnicze.

Międzynarodowa wspinaczka

Od 2 do 5 sierpnia trwało — zorganizowane przez czechosłowackich działaczy — wyjście na Rysy. Nasi południowi sąsiedzi już po raz trzeci mogli uczestniczyć w imprezie, na którą od dwóch lat zapraszani są również kwalifikowani turyści z krajów ościennych — także z Polski. W tym roku w grupie Polaków znalazło się pięciu pracowników „Glinika”. O swoich wrażeniach z trzydniowej imprezy opowiada Władysław Sliwa, zatrudniony w sekcji normowania pracy:

— Wyjechaliśmy zakładowym autokarem z grupą sądeckich przewodników. Własny autobus ułatwiał poruszanie się, a towarzystwo „fachowców od gór” sprawiało, że nie było czasu na nudę. Przewo-

dniczy organizowali każdego dnia ciekawe zajęcia, a gdy grupa polska zdobywała szczyt — wytyczali atrakcyjne trasy, dbali, by znaleźć czas na odpoczynek.

Na Sport-Campie, gdzie biwakowaliśmy, rozłożono setki namiotów, słyszało się — prócz, oczywiście, czeskiego, język węgierski, niemiecki i rosyjski. Zjechało tu kilka tysięcy osób, poszczególne grupy brały codziennie udział w dyskotekach, spotkaniach, różnych konkursach, były też występy zespołów i kiermasz książek. Główną jednak atrakcją pozostała wędrówka na najwyższy graniczny szczyt Tatrz Wysokich — Rysy. Takie wyprawy w surowe, majestatyczne góry, zwłaszcza gdy idzie się w doborowym towarzystwie, na długo pozostają w pamięci.

Optymizm przyczerniony

Prezes jednak uważa, że zaopatrzenie jest niezłe. Na przykład dziś do sklepów trafiło 357 kg kiszi, 1830 kg kielbas, 337 kg wołowego bez kości i 475 kg z kością, 200 kg mielonego, 20 kg poledwicy wołowej. Szczawnicki GS skupu nie prowadzi — zaopatruje się głównie w „Igiopolu”. W stosunku do analogicznego okresu roku ubiegłego produktów masarskich sprzedano w tym roku o 17,5 proc. więcej. Przetworów mięsnych — o 50,3 proc., w tym wędlin — o 53,6 proc. więcej, co sytuuje tutaj GS na drugim — trzecim miejscu w województwie pod względem „dynamiki sprzedaży”.

Jak wszędzie, tak i tutaj są poważne kłopoty z zaopatrzeniem w cukier, mąki, kasze. Dostawy nie zaspokajają potrzeb. Niepokoi prezesa brak personelu, a o placach nawet nie ma ochoty rozmawiać. — *Przecieżna placą w naszym GS wynosi dziś 66 tysięcy złotych. Jeśli chcemy podwyżkę, musimy się sobie wypracować, czyli po prostu zarobić. Zarabiamy handlując, no a czym handlować?*

Abym jednak nie myślała, że Grzegorz Pilecki lubi narzekać, spiesz się pochwalić inwestycjami: w Malinowie, na miejscu dawnych kamieniołomów, powstaje piękne zaplecze geoesowskie. Jest już duży magazyn interwencyjny, warsztaty. Siędem „starów” i „żuki” w pełni zastępują potrzeby transportowe GS. Powstaje nowa waga samochodowa do węgla; nareczenie wyprowadzi się magazyn węglowy z centrum Szczawnicy. Jest również — po kilku latach starań — koncepcja całocięowego zagospodarowania bazy. — *Tylko jeszcze nie wiemy, za co będziemy budować — zastrzega prezes. Ważne jest również to, że 99 proc. placówek handlowych GS mieści się we własnych, geoesowskich lokalach, lub przynajmniej na uregulowane sprawy wynajmu i nie grozi im eksmisja. A wracając do inwestycji — prezes Pilecki informuje, że GS wybudował z własnej woli oczyszczalnię ścieków przy załadunku „Szalasa” w Homolach, że na ukończeniu jest zbiornik na ścieki z masarni. Nieczystości będzie się wywozić do oczyszczalni, która powstała przy kolejce*

na Palenicę, a jeśli ta nie zostanie jeszcze uruchomiona — do oczyszczalni przy placówce WOP w Szlachtowej.

A co Szczawnica oferuje dla ducha? „Lato Pienińskie” — barwna impreza folklorystyczna — na ten rok zakończone. W gablotach przed Miejskim Ośrodkiem Kultury parę plakatów zapraszających na wystawy. W Pajalni, „Magdalena”, pełniącej zarazem rolę galerii plastycznej — wystawa obrazów Józefa Ignaciuka — tutajjskiego malarza profesjonalnego, i rysunków dzieci ze Szkoły Podstawowej nr 2, które pod kierunkiem M. Kędroń wykonały prace na konkurs pod hasłem: „Szczawnica dawniej i dziś”. Jedynie kino „Pieniny” — w remoncie. Można wypożyczyć książki z Miejskiej Biblioteki Publicznej. Chcę się поближе dowiedzieć o planach MOK na najbliższe tygodnie — niestety, nie ma z kim rozmawiać w Ośrodku. Dobrze, że pogoda dopisuje, więc gościom wystarczają spacer i plażowanie nad Grajcarkiem.

Biurowi Obsługi Turystów PTTK oferuje wycieczki. Ceny różnicowane — od 420 złotych za wyprawę do Wawozu Homole po 4940 złotych za spływ Przełomem Dunajca. Można wybrać się na jarmark do Nowego Targu (za 980 złotych), do zabytkowego kościołka w Dębnie i Niedzicy (1110 zł), do Zakopanego (2650 zł) bądź Krynicy (2610 zł).

Biurowi oferuje również noclegi i wyżywienie. — *Dysponujemy 410 — 415 miejscami w prywatnych kwaterek w Szczawnicy i Kuszokowcach. Organizujemy wczasowy indywidualne i rodzinne, prowadzimy w schronisku „Orlica” obóz turystyki kwalifikowanej. Mamy również 21*

miejsc w nowym schronisku pod Bereśniem — informuje kierownik BORT, Zbigniew Nowak. — Działamy w dwóch sekcjach — turystyki przyjazdowej, czyli organizacji pobytu wczasowiczów i turystów w naszej miejscowości oraz turystyki wyjazdowej, czyli wycieczek poza Szczawnicę. Do ubiegłego roku organizowaliśmy wycieczki zagraniczne, ale zbyt małe zainteresowanie nimi sprawia, że stały się nieopłacalne. Świadczymy usługi przewodniczkę (niestety, przewodników brakuje). Mamy cztery autokary. Prowadzimy kiosk z pamiątkami w centrum miasta.

Od 1 sierpnia wystąpiły komplikacje w świadczeniu usług przez BORT. Okazało się, że trzeba od wczasowiczów i turystów pobrać dopłaty za wyżywienie. Niemal: dotychczas całodzienny wikt kosztował 2200 złotych, obecnie nie mniej niż 5500 (wraz z 10-procentowym podatkiem na Wojewódzki Fundusz Rozwoju Turystyki). Nie każdy z gości był na to przygotowany. Przyjęto więc zasadę, iż kto chce i może — dopłaca, kto chce — otrzymuje zwrot pieniędzy i żywi się na własną rękę, kto wreszcie chce — może, „przejeść” to co zapłacił, a potem organizować sobie posiłki sam. Nie da się jednak ukryć, że w sierpniu jest wyraźnie mniej gości niż w lipcu...

Po sąsiedztwie z BORT mieści się Prywatne Biuro Turystyczne Waldemara Małeckiego. Właściciela nie zastaje, ale informację udziela mi jego żona — Anna. Biuro organizuje wczas, wycieczki, obozy i kolonie. Dysponuje 78 miejscami noclegowymi, przy czym stawia na jakość usług oraz na przedłużeniu sezonu, proponując od września dowolne terminy i dowolne

okresy pobytu w Szczawnicy. Do końca lipca jeden „osobodzień” kosztował 900 — 1200 złotych za łóżko i 1900 złotych za wyżywienie — w pięknej prywatnej jadalni „Zakopianka”. Od 1 sierpnia stawka za wyżywienie oczywiście wzrosła. Oboje państwo Małecy są profesjonalistami, mają kierunkowe wykształcenie, pani Anna legitymuje się uprawnieniami przewodnika beskidzkiego. Lubią tę pracę i wiążą z nią życiowe plany.

Zmiane kosztów wyżywienia odczuwają również dyrektorzy domów wczasowych i sanatoriów. Może nawet bardziej odczuwają, gdyż trudniej tu „zarządzić” dopłatę. — *Długożycas mieliśmy na wyżywienie kuracjusza dziennie 580 złotych — objaśnia dyrektor sanatorium „Budowlani”, Leszek Dziedzina — od 1 sierpnia wszystkie kalkulacje się przewróciły. Karcić ludzi musimy, a nie wiemy, ile można na to przeznaczyć pieniędzy. Wymaga to dobrego „głókwowania” i... ryzykowania.*

Nie ma natomiast dyrektor trudności z zaopatrzeniem w większość produktów spożywczych. Sanatoria dostają wiele ofert od producentów: — *Mam już starych dostawców warzyw czy ziemniaków. Większym problemem jest zdobycie artykułów przemysłowych — pościeli, zastawy stołowej, papieru toaletowego. Tu przynam — korzystamy nieraz z prywatnych układów.*

Obraz Szczawnicy widziany przez pryzmat sklepów, usług turystycznych i sanatorijskich, cen i trudności zaopatrzeniowych nie jest różowy, choć nie można powiedzieć, że barwa czarna w nim dominuje. Prawdę mówiąc, nie rysuje się ani bardziej optymistycznie, ani bardziej pesymistycznie niż wizerunek codziennego dnia w pozostałych niewielkich miejscowościach województwa, a zapewne i kraju. Nadzieja, że może wreszcie będzie lepiej — przeplata się z obawami.

(ciąg dalszy za tydzień)

ELŻBIETA GLINKA

Biorytm

Według niektórych teorii psychofizjologicznych, wszyscy ludzie żyją od chwili urodzenia w pewnych ściśle określonych okresach, a trojakich pod względem swej cykliczności. Cykl „fizyczny” trwa 23 dni, cykl „wrażliwości”, zwany niekiedy emocjonalnym — 28, „intelektualny” zaś — 33 dni. W każdym z nich połowa dni należy do fazy dodatniej, połowa do ujemnej. W dwudziestotrzyniodniowym cyklu fizycznym 11 i pół dnia sprzyja na przykład intensywnemu treningowi sportowemu oraz wszelkim poczynaniom wymagającym sprawności fizycznej. Podczas pozostałych — „ujemnych” — zaleca się zmniejszenie aktywności i unikanie większych wysiłków.

28-dniowy okres emocjonalny odpowiada miesięcowi księżycowemu, wiąże się także z fazami menstruacyjnymi u kobiet.

W 14 „dobrych” dniach owego biorytmu zarówno mężczyźni, jak i kobiety mają pogodny nastrój, są pełni optymizmu i nastawieni na zgodne współdziałanie z otoczeniem. I na odwrót — 14 dni „minusowych” cechują raczej nastroje melancholii i postawa obojętności.

W części dodatniej cyklu intelektualnego łatwiej przebiegają studia, ludzie pióra mają lepszą wenę pisarską, matematycy rozwiązują z większym powodzeniem trudne problemy. Intelektualiści pracują wydajniej, uczniowie uczą się pilniej, a wiadomości chłonięte w tym czasie bardziej utrwalają się w pamięci. Pozostałe 16,5 dni ujemnych lepiej poświęcić powtórkom lub ćwiczeniom praktycznym.

Do najbardziej krytycznych należy dzień przechodzenia z fazy dodatniej na ujemną i — na odwrót. W cyklu fizycznym bywa to często dzień nieszcześliwych wypadków. Podobnie zresztą zaznacza się ujemna faza w cyklu emocjonalnym: w momencie zwrotnym dochodzi często do agresji i rozdrażnienia. Podobny dzień w cyklu intelektualnym nie jest tak groźny, chyba że zbiegnie się przypadkowo z

dniem krytycznym innego z pozostałych biorytmów.

Uczeni wyjaśniają, że krytyczny dzień dlatego bywa bardziej niebezpieczny, ponieważ człowiek znajduje się wówczas jakby w stanie bezwładu psychofizycznego. Z teorią biorytmów wiąże się jeszcze inna — o „harmonii ciała ludzkiego”, która utrzymuje, że wloty i upadki w działalności człowieka są stresami, przypominającymi rytmiczne ruchy wahadła. Dzień krytyczny jest zatem krótkim okresem rzekomej równowagi bez działania stresów, ale wtedy właśnie człowiek ulega łatwo ujemnemu wpływowi czynników zewnętrznych, głównie meteoropowych, czyli związanych z czynnikami atmosferycznymi.

Spostrzeżenie to wykorzystywano w praktyce, między innymi w Japonii. Kierowcy Towarzystwa Kolejowego „Ohmi”, przychodzący na swoją zmianę otrzymywali karty ostrzegające, żeby byli szczególnie ostrożni, ponieważ przypada właśnie ich „zły” dzień. Zdyscyplinowanie społeczeństwa japońskiego sprawia, że kierowca ci prowadzą wtedy wozy ze wzmoczoną uwagą, zwłaszcza w okęgach znanych z

nasilenia wypadków drogowych. System takiego ostrzeżenia wprowadzono w roku 1969 i — o dziwo — liczba wypadków spadła wówczas o blisko 50 procent, wykazując stałe tendencje zniżkowe.

Uczeni japońscy, zalecający stosowanie zasad zmiennej wydolności psychofizycznej w praktyce, podkreślają, że naciskiem, że nie mają one nic wspólnego z „zadną”, „wiedzą hermetyczną”, z przesadami w rodzaju wiary w feralną trzynastkę czy przyszłowiowego pecha. Po prostu: w dniu krytycznym człowiek ma osłabiony refleks i rozproszoną uwagę, co przy występującej znacznej pobudliwości powoduje niekiedy niekorzystne następstwa.

Ale nie martw się: po dniach krytycznych następują dni radości. Z wyliczeń wynika, że dzień krytyczny — fizyczny albo emocjonalny — przypada mniej więcej raz na sześć dni, natomiast podwójnie krytyczny sześć razy w roku. Najgroźniejszy, potrójny, nie zdarza się częściej niż raz w roku. Zatem uśmiechnij się: każdy z nas ma co jakiś czas również i swoje dobre, i bardzo dobre dni.

MACIEJ JAŃCZYK

TELEGRAM — Zakopane zapraszamy na pierwszą w Polsce bezpłatną giełdę samochodów osobowych czynną od poniedziałku do soboty w godzinach od 9-17. Zakopane, Tetmajera (obok komisji) tel: 66-78.

KOMIS — Zakopane, Tetmajera 17 zakupi i poszukuje dostawców towarów pochodzenia zagranicznego: sprzętu narciarskiego, technicznego, mebli, samochodów osobowych. Czekamy na oferty.

ZATRUDNIENIE reprezentacyjną dziewczynę do pracy biurowej z bardzo dobrym wynagrodzeniem. Mile widziane urodzone w wrześniu lub październiku. Rok urodzenia 1970.

Również zatrudnie osobę posiadającą umiejętności plastyczne-graficzne (reklama). Zakopane, tel: 666-78.

GARBARNIE czynną w Warszawie — sprzedam. Oferty: 902020 Biuro Ogłoszeń Warszawa, ul. Pozańska 38. K-8750

ZAMIENIE kawalerkę na miejscowość górską, Warszawa, ul. Białobrzeka 19/23. K-8751

PRZETARGI

„MZK „Sokół” w Starym Sączu ul. Staszica 5 sprzedaje w drodze PRZETARGU NIEOGRANICZONEGO autobus marki Autosan H/9-35 Nr. rejestracyjny NSA 178 S, rok produkcji 1978, cena wywoławcza 4 600 000 zł.

Przetarg odbędzie się w Klubie przy ul. Staszica 5 w Starym Sączu, w 14-tym dniu od ukazania się ogłoszenia o godz. 11.00. Autobus można oglądać dzień przed przetargiem w bazie SKUIR w Starym Sączu w godz. 8-14-tej.

Wadium w wysokości 10% ceny wywoławczej należy wpłacić w kasie Klubu w dniu przetargu w godz. 8-10-tej. W przypadku nie dościa do skutku I przetargu, przetarg II odbędzie się w tym samym dniu i miejscu. Zastrzega się prawo unieważnienia przetargu bez obowiązku podania przyczyn.

Warszawskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego i Robót Chemodopornych „BUDOKOR” zatrudni

robotników w zawodach budowlanych, w szczególności:

ZBROJARZY, CIEŚLI, MURARZY

Adres: Warszawa, ul. Elbląska 14, telefon: 33-94-83 dojazd: z dworca W-wa Centralna — tramwajami 19, 29, 33 z dworca W-wa Wileńska, Wschodnia, Gdańska — autobusem 103

DUNAJEK — tygodnik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Redaguje zespół: Danuta Binek, Beata Dembowska, Elżbieta Glinka (z-ca redaktora naczelnego), Lucyna Kaszuba, Adam Gogorza (redaktor naczelny), Franciszek Palka, (redaktor graficzny), Krzysztof Podbiara (z-ca sekretarza redakcji), Michał Sroka (redaktor techniczny), Anna Szoplińska. Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, al. Wolności 49, telefon: 238-36, 238-90, telex: 0322748, Oddział w Krakowie, ul. Wielopole 1, pok. 502, telefon: 22-75-88 wewn. 161, telex: 0322491. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch” Krakowskie Wydawnictwo Prasowe w Krakowie, ul. Wiślna 2. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch” Kraków al. Pokoju 3.

Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń, ul. Wiślna 2 Kraków, telefon 22-70-89 oraz wszystkie biura Ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11. Nr indeksu 35657.

Prenumeratory indywidualni w miastach dokonują wpłat na poszczególne kwartały bieżącego roku: do 28 lutego na II kwartał, do 31 maja na III kwartał, do 31 sierpnia na IV kwartał.

PIĄTEK — 25 VIII

PROGRAM I

- 8.50 Domator — borowiki, kurki i inne
- 9.00 Zielone Teleferie
- 9.30 „Arabella”
- 10.00 DT — wiadomości
- 10.10 DT — dodatek gospodarczy
- 10.25 „Ach, ty moja Kochana” — film
- 10.25 „Już nie szumią na gór szczyty” — film dok.
- 15.40 Domator — przed weekendem
- 16.40 Program dnia
- 16.45 Interstyl
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 Tutaj czas nie goni mnie „Zjazd”
- 18.00 „Hatra” — film dok.
- 18.30 Telewizyjny informator wydawniczy
- 18.50 Bez granic
- 19.00 „Przygody Gapulki”
- 19.10 Monitor rządowy
- 19.30 Dziennik telewizyjny
- 20.05 Kino muzyczne Kydryńskiego „Zabawna pani” musical prod ameryk.
- 22.30 Kroniki PAT — Tak było...
- 22.45 Czas — magazyn publicystyczny
- 23.15 DT — echa dnia

PROGRAM II

- 17.55 Program dnia
- 18.00 Kronika
- 18.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedzwieckiego
- 19.00 Konwój
- 19.30 Dookoła Świata — W Bagdadzie i w Izraelu
- 20.00 Studio sport
- 20.50 Bravo dla Grażyny Brodzkiej
- 21.30 Panorama dnia
- 21.45 Orkiestry dęte w Clermont Ferrand — reportaż
- 22.30 Filmy z Humphrey'em Bogartem „Mroczne przejście” — film prod. ameryk.
- 0.10. Komentarz dnia

SOBOTA — 26 VIII

PROGRAM I

- 8.00 „Tydzień na działce”
- 8.20 „Na zdrowie”
- 8.55 „Przygody dobrzduszne go smoka” — film
- 10.30 DT — wiadomości
- 10.40 „Stare, nowe, najnowsze”
- 11.10 „Bellona”
- 11.40 Telewizyjny koncert zyczeń
- 12.10 „Flesz”
- 12.30 Telewizyjny teatr prozy z cyklu: „Mówi Chandler” „Tajemnica jeziora” (2)
- 13.35 „Prezydenci” — William McKinley
- 14.05 Komedie, komedie, komedie... „Cafe pod Minoga”
- 15.35 „Polska walcząca 1939 — 1945” — „Droga do wojny (11)

- 16.35 Losowanie Dużego Lotka
- 16.45 Teleexpress
- 17.00 Studio sport
- 19.00 „Przygód kilka wróbla Cwirka”
- 19.10 „Z kamerą wśród zwierząt”
- 19.30 Dziennik telewizyjny
- 20.05 Sobotni seans filmowy: „Boska istota” — melodramat prod. włoskiej
- 21.55 „Tydzień w polityce”
- 22.05 Teatr telewizyjny — Jarosław Hašek „Czyj to pies?”
- 22.25 Telewizyjny przegląd sportowy
- 22.45 „Baw się z nami w disco”
- 23.30 Telegazeta
- 23.35 Kino nocne „Prawo gwałtu” — film
- 1.10 Zakończenie programu.

PROGRAM II

- 11.30 „Konkurs 5 milionów”
- 12.15 „Trzy godziny z telewizją Katowice”
- 15.15 „Bariery”
- 15.40 Program dnia
- 15.45 Małe kino: „Szerpowie” — film Szymona Wdowiaka
- 16.15 „5 — 10 — 15”
- 17.00 „Konwój”
- 18.00 Kronika
- 18.30 „Zza kulis Sopotu”
- 19.30 Balet narodowy Kubę prezentuje
- 20.00 Studio sport
- 21.00 „Barwy jazzu”
- 21.30 Panorama dnia
- 21.55 „Chateaublanc” (16)
- 22.45 Komentarz dnia

NIEDZIELA — 27 VIII

PROGRAM I

- 7.45 „Po gospodarstwu” — magazyn
- 8.15 „Tydzień”
- 8.55 „Fantastyczna ciotka”
- 10.30 DT — wiadomości
- 10.35 „Ludy Ziemi” (6)
- 11.35 „Kraj za miastem”
- 12.05 Telewizyjny koncert zyczeń
- 12.50 „Gdzie są taśmy z tamtych lat”
- 13.25 „Morze” — magazyn
- 13.45 „Próbuję przeniknąć rytm serca pradawny...”
- 14.10 „Pieprz i wanilia — Nieznany kraj”
- 14.55 Studio sport
- 15.35 „Panna dziedziczka” (15)
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 Studio sport
- 18.40 „Antena”
- 19.00 „Trzy misie”
- 19.30 Dziennik telewizyjny
- 20.05 „Światła kabaretów” (7-ost.) — serial
- 21.00 „7 dni — świat”
- 21.30 Sportowa niedziela
- 22.30 „Kinomania”
- 23.05 Telegazeta

PROGRAM II

- 11.25 „Przegląd tygodnia” (dla niesłyszących)



WTOREK — 29 VIII

PROGRAM I

- 8.50 „Domator” — marynaty
- 9.00 Teleferie: „Wakacje z Neptunem i Ikarzem”
- 9.30 „Chłopcy z naszego osiedla” (6) — serial
- 10.00 DT — wiadomości
- 10.10 DT — dodatek gospodarczy
- 10.25 „Gdańsk '39” (3) — serial
- 17.10 Program dnia
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 „Z wiatrem i pod wiatr” — magazyn żeglarski
- 17.55 „Kapitan Kaługin depeszkuje do Stalina” — program dokumentalny
- 18.20 „Gliniane tablice, czyli cztery stolice starożytnej Asyrii” — film dok.
- 18.50 „Bez granic”
- 19.00 „Przygody Bączka i Pączka”
- 19.10 Magazyn konsumentów „Stop”
- 19.30 Dziennik telewizyjny
- 20.05 „Gdańsk '39” (3) — serial
- 21.05 Kroniki PAT — Tak było...
- 21.20 „Duplikacje wrzesnia”
- 21.50 „Wokół wielkiej sceny”
- 22.40 DT — echa dnia

PROGRAM II

- 17.55 Program dnia
- 18.00 Kronika
- 18.30 „Jarocin” — reportaż
- 19.30 „Blisko nieba” — na skrzydłach
- 20.00 „A b” — teleturniej językowy
- 20.30 „Wietnam” — program dokumentalny
- 21.00 Studio sport
- 21.30 Panorama dnia
- 21.45 Studio Solidarność
- 22.30 „Miotacz noży” — film
- 24.00 Komentarz dnia

ŚRODA — 30 VIII

PROGRAM I

- 8.50 „Domator” — marynaty
- 9.00 Teleferie najmłodszych
- 9.35 „Legenda o żartowniście zwanym Kurente” (3) — serial
- 10.00 DT — wiadomości
- 10.10 „Niepoprawny Igarz” — film
- 16.45 Program dnia
- 16.50 Losowanie Express i Super Lotka
- 16.55 Telewizyjny informator wydawniczy
- 17.15 Teleexpress

PROGRAM II

- 17.55 Program dnia
- 18.00 Kronika
- 18.30 „Świat festynów”
- 19.00 „Przeboje teatru muzycznego w Gdyni” — „Me and my girl” — reportaż
- 19.30 „Zwierzęta wokół nas”
- 20.00 „Konwój”
- 20.30 Festiwal Chopinowski — Dużeszki '89
- 21.00 „Z ziemi polskiej” — film
- 21.30 Panorama dnia
- 21.45 997 — kronika milicyjna
- 22.45 „W labiryncie” (35) — serial
- 23.15 Komentarz dnia

CZWARTEK — 31 VIII

PROGRAM I

- 8.50 „Domator” — marynaty
- 9.00 „Złote pantofelki” cz. 2 film
- 10.00 DT — wiadomości
- 10.10 „Policjanci z Miami” — „Bagna” — serial krym. prod. USA.
- 16.20 Rolniczy film oświatowy
- 16.45 Program dnia
- 16.50 „Totentanz in Polen” — wiadowsko artystyczne
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 „Daleki dystans” — film
- 18.25 „Stary Sandomierz” — film
- 18.50 „Bez granic”
- 19.00 „Cypisek, syn rozbójnika Rumcajsa”
- 19.10 „Teraz”
- 19.30 Dziennik telewizyjny
- 20.00 Apel poległych i uroczysta odprawa wart przed Grobem Nieznanego Żołnierza
- 21.00 Kroniki PAT — Tak było...
- 21.15 „Policjanci z Miami” — serial
- 22.00 „Pegaz”
- 22.50 Studio sport
- 23.10 DT — echa dnia

PROGRAM II

- 17.55 Program dnia
- 18.00 Kronika
- 18.30 „Wierność” — film dok. Grzegorza Królikiewicza
- 19.00 „Leonard Bernstein w Warszawie”
- 20.00 Studio sport
- 21.00 „Ekspres reporterów”
- 21.30 Panorama dnia
- 21.45 Spotkanie z Ewą Pape
- 22.00 „Ucieczka z Sobiboru”, cz. 2 — film
- 23.15 Komentarz dnia

(CIAĞ DALSZY ZE STR. 16)

kamienicy Ritterów, bo bliżej nie mogliśmy się przepchnąć. Obok nas dostrzegłam panią Pasionkową w żalobnym stroju i kapeluszu z długim, czarnym welonem, w towarzystwie córki i zięcia. Wymieniliśmy milcząco ukłony, pani Zielińska ledwo rzączyła skinać głowę. Za nami stanął pan Franciszek Christ, właściciel winiarni, i szepotał z Joachimem. Chodziło o plany miejskie mierzące do wybudowania szkoły męskiej na miejscu obecnej targowicy drzewnej. Prawdopodobnie szpital zostanie rozebrany, skoro wybuduje się nowy.

Zgiełk umilkł, kiedy na placu pojawiły się członkowie Rady Miejskiej. W napięciu czekaliśmy na niezwykłą chwilę. Aktu poświęcenia, w obecności całej Rady Miejskiej i Rady Powiatowej duchowieństwa, wiodka, obywateli ziemskich, inteligencji miejskiej, kupców, rzemieślników i pospólstwa, dokonał ksiądz Alojzy Góralik. Potem spisał akt, który publicznie, głośno i wyraźnie odczytano i chociaż do nas dochodziły zaledwie strzępy słów, wiedzieliśmy dobrze o co chodzi. Potem złożył pod aktom podpisy członkowie Rady Miejskiej, reprezentanci władz i towarzyszy tudzież notable. Pierwszy figurę na liście, rzeczą jasną, podpisał burmistrz, pana notariusza Lucjana Lipińskiego. Przy dźwiękach orkiestry

wojkowej wmurowano akt w węgiel fundamentu wieży.

Wracając z uroczystości, natknęliśmy się za mostem na zdyszanego Wieruszkę. Biegł po doktora, bo żona dostała krwotoku. Biedny Damian, nie ma szczęścia do małżeństwa. Pierwsza żona młodziutko zmarła, druga, suchotnica, ma dni policzone. Przed domem czekała na nas Uryżyna i zapraszała na placzek z borówkami. Poszłam do niej po obiedzie i dowiedziałam się, że przyjechała dwóch kolejarzy na stację. Uryżyna przyjmując raz studentów z gimnazjum, raz kolejarzy. Od pewnego czasu zbliżyliśmy się z Uryżyną, nawet ją polubiłam. Towarzyszyła nam Bronka Miechowa, nazywana przez nas „oficjalistową” z racji zawodu męża. Bronka ma ciężkie życie, halerz u nich gono halerza, ale cieszy się z postępów w nauce synów, to łagodzi bóg niedostatku. Uryżyna dała jej kawałek placaka dla dzieci. Gdy wróciłam do domu, Justynka powiedziała mi o wyjściu Dominiki ubranej w świąteczną sukienkę i biały kapelusz. Westchnęłam. Córka nie zaprzestała swoich tajemniczych spacerów.

Początek września 1895 r.

Odkąd Walek zdał chwałebnie egzamin czeladniczy, Joachim patrzy na niego innym okiem i jakby nie zauważał socjalistycznych upodobań syna. Nie lubi tylko pochwał powrotów do domu; chociaż dzieci nie kaceli, jego surowe spojrzenie nadal jest dla nich

postrachem. Dominika, nie chąc narażać się ojcu, wraca zawsze przed jego powrotem i dlatego udają się jej zagadkowe spacery.

Od jesieni czy zimy Walek zaprzyjaźnił się z Piotrem Dobrowolskim, szanowanym w warsztatach ślusarzem. Dobrowolscy to znana mieszczańska rodzina. Znam ojca Piotra, pana Wincentego. Piotr jest starszy od Walka o sześć lat i stanowi dla niego duży autorytet. Po egzaminie czeladniczym młody Dobrowolski, podobnie jak Staszek Zagrodce, przemierzył Austrie, Węgry i Czechy. Po powrocie do Nowego Sącza, oszlifowany w różnych miastach monarchii, został maszynistą i następnie przeszedł do pracy w warsztatach. Odgrywa ważną rolę w partii i bierze udział we wszystkich akcjach kolejarских. Sam też jest inicjatorem trafnych pomysłów. Walek teni jego zdanie i imponuje mu przyjaźń ze starszym kolegą. Piotr ma posłuch wśród młodej braci na kolei; wszak zwiędził kawał świata, poznał różne sprawy i ludzi. Piotr wywiera silny wpływ na Walka i dlatego chciałam go bliżej poznać, żeby wiedzieć, z kim zadaje się syn. Joachim był na próbie chóru i mógłby swobodnie rozmawiać. Piotr zrobił dodatnie wrażenie. Przystojny, ułożony, grzeczny i dobrze mu patrzy z oczu. A mówił tak płynnie i interesująco, jak profesor w gimnazjum. Kaziu nazwał go „czerwonym”, ale on, pracując w starostwie, ma inne podejście do tych

spraw. Ja nazwałam go „obroncą ludu”.

Od jakiegoś czasu Walek wspomina pana Jana Malisza, koncepcienta adwokackiego czy sekretarza w kancelarii, nie wiem dokładnie. Pan Malisz robi podobno udane fotografie i bardzo sprzyja kolejarzom. Syn przechwytuje zdjęcia z różnych uroczystości na kolei i uważa je za ważny dokument ich działalności. Pan Malisz bardzo chętnie oddaje usługi kolejarzom. Posiada aparat fotograficzny wciąż należy u nas do rzadkości.

Narski prawdopodobnie przeniesie się do Sucheje. Olimpią nie chce, żeby jej zięć pełnił u nas funkcję subiekta. Joachim martwi się, Hipolita niełatwo będzie kimś zastąpić. Napisał więc do Celestyna z propozycją przekazania mu sklepu, ponieważ siostrzeniec nie czuje się dobrze we Lwowie. Celestyn odpisał szybko, dziękując za pamięć o nim. Nie jest już we Lwowie, przeniósł się do Rzeszowa. Joachim trumfuje, a ja boleję nad siostrzeńcem, bo to przeciwieństwo sierota i zapewne dlatego nie może nigdzie zagrześć miejsca. Skoro Narski odjedzie, trzeba szukać znowu kogoś.

Poniedziałek, 30 września 1895 r.

Walek od kilku dni był gościem w domu. Brał udział w przygotowaniach do zjazdu socjalistycznej partii galicyjskiej. Wybór Nowego Sącza na miejsce zjazdu jest zaszczepem dla naszych kolejarzy.

(ciąg dalszy nastąpi)

Rozmowy

Amerykański radioamator Richard Spensley, mieszkający czasowo na Wyspach Dziewiczych, znalazł sposób na samotność. W ciągu roku nawiązał radiowy kontakt z 48 100 osobami ze wszystkich zakątków świata. — *Dobrze tak* — stwierdził Spensley — *poznać każdego dnia, choćby na odległość, 130 nowych ludzi.*

To jest kapusta!

Zdarza się jeszcze, że na pytanie skąd się biorą dzieci pada odpowiedź: — *Znajduje się je w kapuście.* Anglik I. Stone wyhodował warzywo, które mogłoby z powodzeniem kryć sięścioraczki. Główna, a właściwie głowa kapusty z jego działki ważyła bowiem 53,5 kg. Jest to oczywiście rekord świata.

Fonoteka BBC

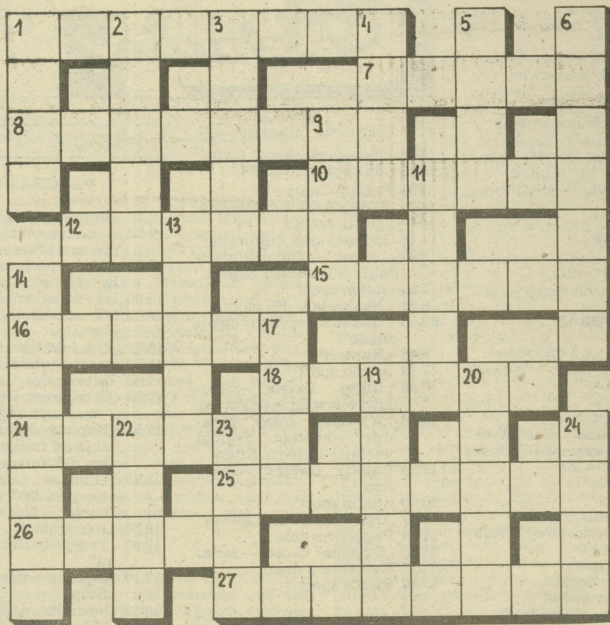
Najzasobniejszą fonoteką świata dysponuje brytyjska rozgłośnia BBC. W jej zbiorach znajduje się ponad milion zapisów dźwięku. Najstarszy pochodzi z roku 1888. Został wykonany na walek woskowy. Jednym z najciekawszych eksponatów jest pierwsza komercyjna płyta wyprodukowana w 1895 r.

Sposób

Wiele firm prowadzi prace nad znalezieniem metody wykluczającej zasypianie kierowców w trakcie jazdy. Ostatnio jedna z kompanii amerykańskich wypuściła na rynek próbną serię specjalnych okularów, reagujących na częstotliwość przemykania powiek. Jeśli pozostają one opuszczone dłużej niż 0,4 sekundy, z okularów wydobywa się sygnał alarmowy.

Higieniczne powitanie

Wiadomo, że gesty oznaczające powitanie są różne w zależności od kraju i obyczaju. Europejczycy podają sobie dłonie, Hindusi składają dłonie przed twarzą, Eskimosi pocierają się nosami. Ale najoryginalniejszą chyba formę stosowano w dawnych Chinach, gdzie podczas spotkań przedstawiciele wielkich rodów każdy z nich ścisnął rękę... samemu sobie.



KRZYŻÓWKA NR 34

POZIOMO: 1) miasto wojewódzkie — centrum atrakcyjnego regionu turystycznego, 7) przychylność, względy, 8) narzędzie, którego używano do wydobycia iskier z krzemienia, 10) kazalnica, 12) arkusz poprawek, 15) gąsienica, 16) narzędzie ogrodnicze i rolnicze, 18) tańce, figle, gra, 21) reputacja, 25) jedna czwarta litra, 26) „Rigoletto”, 27) ekwinokcjum.

PIONOWO: 1) bogini zwycięstwa, 2) dostojnik w krajach Bliskiego Wschodu, 3) limba, 4) „pokarm” dla hut, 5) Christiania, 6) przenośna ścianka o ramach wypełnionych tkaniną, 9) żeglowne ramię delty Renu, 12) dygnitarz w dawnej sultańskiej Turcji, 13) kamień szlachetny, odmiana korundu, 14) zawody wykształcony rolnik, 17) oddał prawo pierworództwa za miskę soczewicy, 19) wąska tabliczka czekoladowa, 20) jajorodna jaszczurka, 22) myśl przewodnia, twórcza, 23) syn Dedala, 24) wirowy taniec.

L. KSIĄŻKO

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 1 września br.

Rozwiązanie krzyżówki nr 32

POZIOMO: 1) komin, 6) rękaw, 9) Atanazy, 10) kasek, 11) багаż, 12) łopatka, 13) lando, 16) kotik, 19) Inari, 22) rydwan, 23) kreton, 24) Ajaks, 27) karaś, 30) majak, 33) lansada, 34) ząbki, 35) radza, 36) wiatrak, 37) koks, 38) anoda.

PIONOWO: 1) kółko, 2) mason, 3) Nakło, 4) tarpan, 5) kantor, 6) rybak, 7) kogut, 8) wężyk, 14) Adyga, 15) da-

wka, 17) opera, 18) łłowa, 19) Ina, 20) aga, 21) iks, 25) jantar, 26) kwadra, 27) krzak, 28) rąbek, 29) śliwa, 30) marka, 31) jądro, 32) krasa.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 32, w wyniku losowania nagrody otrzymują: Aneta Hojnar z Nowego Sącza i Stanisława Krzysztofek z Limanowej.

Nagrody książkowe prześlemy po czta.

HOROSKOP

BARAN: nie decyduj się na doraźne rozwiązania, nie będą najlepsze — więcej zyskasz, choć później, jeśli teraz zrezygnujesz z własnych ambicji.

BYK: twoje wątpliwości są uzasadnione, wycofaj się, więc z którymiś konwencje — normalne dni, z których powinno być zadowolony.

BLIŹNIĘTA: stare sentymenty teraz właśnie dojdą do głosu, spróbuj się im poddać — uważaj na temperament, może cię ponieść w najmniej odpowiednim momencie.

RAK: musisz pożegnać się, przynajmniej na najbliższe dni, ze spokojem i luksusem neutralności — ktoś będzie chciał cię przeciągnąć na swoją stronę, dobrze się zastanów.

LEW: jeśli spotkają cię kłopoty, to tylko takie, które sam przedywiałeś i sam do nich doprowadziłeś — niedługo odmiana sytuacji, która raczej cię zdeprymuje.

PANNA: istotne decyzje musisz podjąć właśnie teraz — nie bierz pod uwagę tego, co działo się do tej pory, myśl raczej o przyszłości.

WAGA: będziesz z siebie dumny, będziesz zadowolony z osiągnięć — ale to powinno zmobilizować cię do pracy, nie wmaiwaj sobie, że najważniejsze już za tobą.

SKORPION: gwałtowne zmiany, co się wydarzy, co pomoże ci nabrać nowych sił do pracy — najlepsze dni jeszcze przed tobą, nie martw się więc drobiazgami.

STRZELEC: musisz bronić własnej pozycji — nie daj sobie wmówić, że wszystko jest w porządku — po wielu perypetiach spokojne dni i bardzo interesujące chwile z kimś bliskim.

KOZIOROŻEC: wiesz, że jesteś pracowity, poświęć więc wolne chwile na to, by iść do przodu, masz wielkie szanse — nowe znajomości zawieraj ostrożnie, możesz się rozczarować.

WODNIK: nie próbuj zwracać na siebie uwagi i tak jesteś w tej chwili w centrum zainteresowania — broń się przed obowiązkami, których nie chcesz podjąć, a czujesz się zobowiązany.

RYBY: znów możesz popaść z jednej skrajności w drugą, bądź tego świadomy i próbuj się bronić — nowe sytuacje będą wymagały od ciebie szczerości i spontaniczności.

GABRIĘLA R. DANIELEWICZ (116)

Pamiętnik sądecki

„Mieszczanin” omawia sytuację różnych miasteczek. W piśmie tym skupione są wiadomości polityczne, gospodarcze, społeczne, oświatowe i kulturalne, swobody kalendarzowe, jak określił Kazimierz. Nie raz i ja znajduję coś dla siebie: kącik porad lekarskich, wiadomości ogrodnicze i kronikę powszechną. Poruszyły nas artykuły pietujące brak pomocy dla pogorzelców i obcinanie realności na rzecz regulacji ulic, „Mieszczanin” występuje w obronie osób dotkniętych pożarem i wykazuje nieudolność władz miejskich. Zadziwia mnie śmiały, ostry ton artykułów. Podoba mi się zamieszczanie w „Mieszczaninie” notek o zgonach mieszkańców miasta. Klepsydry przechowuje najwyżej rodzina, niszczy jej upływ czasu, a ślad w gazecie zostanie na długie lata. Ciepłą wzmiankę poświęcono zmarłemu na początku marca Kajetanowi Wojciechowskiemu, powstańcowi z 1863 roku. Zostawił wdowę z czworgiem dziećmi bez zapotrzebowania. Joachim wybrał

się na ten pogrzeb, eskortował zwłoki superior jezuitów, ojciec Stanisław Załęski. Nad mogiłą przemawiał były dziesiętnik powstania, chór zaśpiewał pieśń patriotyczną. Kupcy sądecy pomogli wдове urządzić pogrzeb i zapewnił jej warunki dalszego życia. Czy to nie piękny rys naszej społeczności miejskiej?

Przerywam pisanie, bo przyszła Maryjka i pokazuje nowy kapelus. Odkąd zarabia u pani Pasionkowej, część pieniędzy składa u Joachima, resztę kładzie w szafie pod białinę i co jakiś czas wyciąga stamtąd na stroje, bilety na tombole czy lemoniady. Julek Nyf-ton od jesieni jest w wojsku w Przemysłu i pisze do córki grube listy. Maryjka wyróżnia się między pannami u pani Pasionkowej i mistrzyni ją lubi. Po śmierci męża pani Pasionkowa cieszy się małżeństwem swej córki z doktorem Ewardem Zielińskim, sekundariuszem szpitala powszechnego. Już idę podziwiać biały kapeluszek otoczony

szeroką niebieską wstążką. Maryjce bardzo w nim do twarzy.

Parę dni później

Powoli następuje zabudowa miasta. W rynku stanęło kilka domów, na bocznych ulicach widać fundamenty. Ulica Kościuszkowska może poszczycić się już trzema kamienicami, aczkolwiek w stanie surowym. Dzięki energii ojca superiora Stanisława Załęskiego jezuiti odbudowali piętrowy budynek dawnego gimnazjum i zamierzają ulokować tam wydział filozoficzny seminarium klasztornego. Gimnazjum pozostanie przy ulicy Długosza. Jezuiti usunęli skutki pożaru z kościoła, odrestaurowali wieżę, odnowili wnętrza świątyni. W mieście chwalmy ojca superiora za wysiłek, ale kolejarze zarzucają mu osłabienie ruchu socjalistycznego. Joachim zżyma się słysząc zarzuty Walka wysuwane pod adresem jezuitów i broni ojca Załęskiego. Teraz mamy w domu drugiego kolejarza — naszego wnuka, Stefanka. Po ukończeniu szkoły wydziałowej zdecydował się pójść do warsztatów, choć nikt go do tego nie namawiał. Mąż ludziś, że Stefankę przejmie po nim sklep, lecz i jego nie ciągnęło do handlu. Bez niczyjej namowy poszedł na kolej. Wychodzi rano razem z Walkiem. Femcia zadowolona, bo te parę koron, które Stefankę przyniesie, bardzo się przyda. Stefankę nie zdradzał ochoty do dalszej nauki, gdyby chciał, na pewno Antoś czy Ludomir zajęliby się siostr-

zeńcem, a i mąż pomógłby finansowo. Femcia rada, bo warsztaty to stabilna, dobra praca.

Nasza Justynka skończyła piętnaście lat. Jak ten czas leci! Z powodu słabego zdrowia repetowała i dopiero w tym roku opuści szkołę. Wzorem Maryjki chce uczyć się szyć. W dzieciństwie obawiałam się o nią, groziły jej suchoty, lecz moja kuracja, polegająca na spożywaniu żółtek z cukrem, piciu koziogę mleka i zżywaniu produktu eukaliptusowego, poskutkowało. Justynka wyrosła na dorodną, zdrową dziewczynę, przestała się pocić, nie kaszle i nie ma stanów podgorączkowych. Cieszę się z tego prywatnego medycznego sukcesu.

Sobota, 27 lipca 1895 r.

Dzisiaj o godzinie jedenastej przed południem nastąpiło poświęcenie kamienia węgielnego pod budowę nowego ratusza na placu rynkowym. Wydarzenie to odbiło się głośniejszym echem w mieście. Budowę zaczęto na początku lipca. Głównym budowniczym i twórcą planu nowego ratusza jest pan Jan Péroś, architekt. Zanim doszło do przyjęcia jego planu, było kilka innych projektów, angażowali się w to sprawe różni architekci, brano pod uwagę rozmaite lokalizacje.

Chyba niemal wszyscy mieszkańcy miasta i przedmieść przyszli na Rynek, aby uczestniczyć w poświęceniu. Tłumy zalegały Rynek i puste miejsca po pobliskich ulicach. Stałymi przy

(CIĄG DALSZY NA STR. 15)